

Wzemplarz ul. Nowy Zamek
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

● ROZWAŻANIA O LEWICY POLSKIEJ ● JAKA KOALICJA, JAKA OPOZYCJA
● SENATOR PAN BÓG ● LUBLIN - NARODZINY TERRORU ● KRES POLITYKI
RÓWNOWAGI BECKA ● SPOSÓB NA LOKATORÓW ● W ZIEMI ŚWIĘTEJ

TYGODNIK
WSCHODNI

PL BSN 0000-0000

relacje

LUBLIN, 10-16 VIII 1989 R.

NR 30

CENA 70 ZŁ

Lewica wchodziła w nowy wiek jako siła awangardowa dysponująca wizją przyszłych czasów. Dziś nie dość, że wizji takiej nie posiada — to jeszcze ma kłopoty z własną tożsamością (co zresztą jest w takim przypadku wzajemnie sprzężone). Dała się wyprzedzić innym orientacjom — np. prawicowym doktrynom ekonomicznym, które ewoluowały znacznie szybciej, wykazując większą efektywność w interpretowaniu zjawisk w gospodarce i — co za tym idzie — w społeczeństwie.



„Z blegiem Bugu”-str. 8

Fot. Waldemar Stępień

TO, co dzieje się w Polsce od kilkunastu miesięcy, zaś w całym obozie socjalistycznym — od kilku lat, każe zrewidować poglądy na wizerunek politycznej mapy. Wolno KTT podrzywać z wątpliwością wielu ludzi uważających się za „lewicowców” („Polityka” nr 26), uznając je za „modę” i „dobry ton”. Wolno też wątpliwości takich nie mieć — czego cotygodniowe przykłady daje Władysław Machejek. Wolno także — jak uczyniło to światłe kierownictwo „Rzeczywistości” — potraktować całą sprawę za marginalną, rzucając się w wir popierania prywatnej inicjatywy z taką samą pasją, z jaką poprzednio broniło socjalizmu przed reformatorami. Dla jednych pytanie o „lewicowość” jest stylem; dla innych — dowodem kapitulancji; dla jeszcze innych — błędem po intelektualnych manowcach odległych od praktyki codziennego życia. Wielu ludzi obecna sytuacja stawia wobec zasadniczych pytań nie tyle ideologicznych czy politycznych, ile po prostu moralnych. Są to pytania dotyczące ich tożsamości — zarówno grupowej jak jednostkowej. Kto wie zresztą, czy właśnie w owym jednostkowym wymiarze kryzys tożsamości nie ma wymiaru bardziej dramatycznego?

Oczywiście: pytania o tożsamość lewicy pojawiały się za każdym „zakrętem”. W 1956, nieco rza-

dziej — w 1971, w 1980 i po grudniu 1981. Za każdym razem sfera etyczna — tak przecież bliska zagadnieniu ludzkiej tożsamości — stawała się obiektem drwin ze strony „pragmatystów”. Być może w tak niechętnym nastawieniu do pytań typu: kim jestem? kim byłem? kim powinienem być? jakim wartościom mogę służyć teraz? — pokutuje znana z historii lewicy rozprawa z tzw. etycznym marksizmem, który

podjęcie zbliżyło się do rewizjonizmu albo — w lżejszych przypadkach — uchodziło za dowód małej wiary.

Trzeba było dopiero wydarzeń ostatnich miesięcy, zakończonych ciosem z 4 czerwca, by pytania o tożsamość człowieka lewicy i jego — nazwijmy to tak: etyczne uzbrojenie — zaczęto traktować poważnie.

KILKA UWAG W SPRAWIE LEWICY

Zbigniew Bauer

— jak sądzono — jest dymną zastoną przysłaniającą konflikty istotniejsze od moralnych.

Marksizm, leninizm, nie mówiąc już nawet o ich stalinowskich kodyfikacjach, okazywały się ślepe na tradycyjne pojęcia etyczne; zastępowały je dyrektywnie pojmowanymi wskazaniem co należy do obowiązków jednostki walczącej o postęp społeczny. I w gruncie rzeczy od czasów odzucenia i pryncypialnej krytyki nurtu „etycznego” w historii marksizmu, niewiele się zmieniło. Moralizowanie, „etyczcja” zagadnienia pozycji jednostki wobec historii, polityki, społeczeństwa

Czy jest to kryzys lewicy, czy raczej kryzys sposobu myślenia o niej? Pytania, jakie stawiamy, po trosze nie dotyczą rzeczy, ile raczej sposobu zjawiania się jej w naszej świadomości. Chodzi o język, o narzędnia, jakimi opisujemy świat i nasze w nim położenie.

Dokończenie na str. 7

relacje

ZE ŚWIATA

● Szyicka terrorystyczna „Organizacja Uciśnionych Świata” zamordowała porwanego wcześniej amerykańskiego wojskowego, płk. Higginsa. Zagroziła również, że jeśli Izrael nie uwolni uprowadzonego szejka Abdela Karima Obeida, dokonane zostaną egzekucje na kolejnych obywatelach. Następną ofiarą — „Organizacji Rewolucyjnej Sprawiedliwości” — ma być porwany w 1986 roku pracownik Uniwersytetu Amerykańskiego w Bejrucie, Joseph Cicippio. Obie organizacje są podporządkowane szyickiej partii Hezbollah, w której kierownictwie zasiada czołowy imam libańskich szytów, szejka Obeid.

● Okręty VI Floty USA skierowały się ku wybrzeżom Libanu.

● Prezydent Iranu, ajatollah Rafsanżadani, wystąpił z propozycją mediacji. Ofertę pośredniczenia w sporze złożyła również Algieria.

● Władze izraelskie zażądały uwolnienia wszystkich zakładników przetrzymywanych przez szyickich terrorystów.

● Obecnie w Libanie znajduje się 16 zakładników z krajów zachodnich i 7 jeńców izraelskich. Od 1985 roku terrorysty zamordowali 8 osób, w tym jednego dyplomata radzieckiego.

● W Bejrucie trwają wyniszczające walki między ugrupowaniami chrześcijańskimi i muzułmańskimi. Stolica Libanu, kraju zwanego niegdyś „Szwajcarią Bliskiego Wschodu”, leży w gruzach.

● W Nikaragui podpisano porozumienie między oficjalnym rządem a 20 ugrupowaniami opozycyjnymi. Stwarza ono szansę zakończenia wojny domowej w tym kraju.

● Inflacja w Nikaragui osiągnęła 30 000 procent.

● Zakończyło się wielotygodniowe posiedzenie Rady Najwyższej ZSRR. Podjęto uchwałę o zwalczaniu przestępczości. Postanowiono zwiększyć liczebność wojsk wewnętrznych.

● Dekretem Rady Najwyższej ZSRR usunięto z ustawy o przestępstwach państwowych pojęcie „antyradziecka propaganda i agitacja”, wykorzystywane wcześniej przeciwko osobom o odmiennych, od oficjalnych, poglądach.

● W wywiadzie dla agencji TASS I z-ca szefa Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR, gen. B. Omieliczew, stwierdził, że do 1 sierpnia z terytorium NRD, Węgier, Czechosłowacji i Polski wycofano prawie 21 tys. żołnierzy, ponad 3100 czołgów, 333 działa, 81 samolotów. Do tego czasu terytorium Mongolii opuściło 7325 żołnierzy, 404 czołgi, 307 dział i 41 samolotów.

● W czasie swojej wizyty w USA marszałek ZSRR Siemiej Achromiejew spotkał się z dziennikarzami. Stwierdził m. in., że radziecka polityka w Europie Wschodniej nie przewidywała stosowania siły. Zapytany o postawę ZSRR w razie zdecydowania się Polski i Węgier na neutralność, powiedział: „Mogą one stać się takimi krajami, jakimi zechcą zostać”.

● W Jugosławii inflacja przekroczyła 1000 proc. Brakuje pieniędzy na wypłaty.

● Amerykański rabin Avraham

Weiss zapowiedział wystąpienie do sądu przeciwko grupie robotników, którzy siłą usunęli jego i grupę demonstrujących Żydów z terenu klasztoru karmelitanek w Oświęcimiu. Zażądał też, aby administrację obozu oświęcimskiego przejęło państwo Izrael.

● Z Greenham Common, bazy powietrznej USA w Wielkiej Brytanii zaczęto wycyfrować pierwszą partię 16 rakiet jądrowych. Baza ta była stałym obiektem akcji angielskich pacyfistów.

● Ciąg dalszy afer w kubańskim MSW. Minister i kilku wysokich funkcjonariuszy zostało pozbawionych stanowisk.

● Na Kubie wstrzymano kolportaż hiszpańskiej edycji „Moskowskich Nowosti” i „Sputnika”. Zdaniem władz, gloryfikują one „burżuazyjną demokrację” jako najwyższą formę władzy ludu oraz propagują amerykański styl życia. Upřednio zakazano rozpowszechniania „Sputnika” także w NRD.

● Rumunia odwołała swojego ambasadora z Budapesztu po wywiadzie, jaki węgierska telewizja przeprowadziła z byłym królem Rumunii Karolem Michałem.

● Chińskie władze oświatowe poinformowały, że 36 uczelni tego kraju, w tym uniwersytet pekiński i politechnika, zmniejszy nabór na pierwszy rok studiów aż o 15 tys. osób.

● W Phenianie (KRLD) odbyło się seminarium naukowe z okazji 5 rocznicy opublikowania klasycznego dzieła „drogiego towarzysza” Kim Dzong Ila pt. „O dalszy rozwój pracy oświatowej”. Kim Dzong Il jest synem przywódcy narodu północnokoreańskiego Kim Ir Sena i jest przeznaczony na jego następcę.

relacje

Z KRAJU

● Powołano Nadzwyczajną Komisję Semjową, która ma zbadać działalność rządu w celu ewentualnego skierowania sprawy do Trybunału Stanu.

● Z dniem 1 sierpnia wprowadzone zostało tzw. urynkowanie gospodarki żywnościowej.

● Sejm ogromną większością głosów przyjął pierwszy wariant indeksacji (powszechnej).

● Z wypowiedzi Władysława Baki na temat urynkowania: „Nigdzie na świecie nikt nie odważył się wprowadzić mechanizmów rynkowych bez przygotowania ekonomiki kraju i ludu”.

● Krajowa Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność” opowiedziała się za urynkowaniem, ale zaprotestowała przeciwko takiej formie tej operacji.

● Staly felietonista „Tygodnika Powszechnego” Piotr Wierzbicki w „Tygodniku Solidarność”: „Solidarność zmarnowała kilka lat, zastępując program gospodarczy frazesem o »prawdziwej reformie«. Ale rząd tych lat nie zmarnował: wynalazł ministra Włczka, który przejął inicjatywę. Solidarność okopała się w socjalistycznych frazesach. Minister Włczek zaczął wpuszczać boczną furtką kapitalizm”.

● Jak na razie, jedynym efektem urynkowania są puste półki i nowe

ceny w sklepach, zresztą właśnie niedojrzałe.

● Rolnicy prawie nie zareagowali na nowe ceny skupu. Pracownicy wielu punktów skupu są zupełnie bezrobotni. W sklepach pojawia się jedynie wołowina z krytykowanego importu z EWG.

● Nasilają się akcje strajkowe w całym kraju. Żądania płacowe sięgają od 100 do 200 procent.

● Z wystąpienia Mieczysława Rakowskiego, I sekretarza KC, na XIII Plenum KC PZPR: „My, towarzysze, dostrzegając i głęboko analizując przyczyny naszych słabości, błędów, porażek, nie musimy przy byle jakiej okazji padać na kolana przed przeciwnikami politycznym, nie musimy zachowywać się jak królik, którego paraliżuje strach przed spotkaniem na swej drodze węzeł!”

● Z wystąpienia posła Krzysztofa Komornickiego na XIII Plenum KC PZPR: „Kierowniczy aparat partyjny popełnił grzech pychy. Trzeba sobie to wreszcie powiedzieć. Falszywie oceniono sytuację, żywno jakieś twardzie nadzieje, marzono na jawie. Podczas gdy normalni ludzie prawidłowo oceniali sytuację, nienormalni już w przeddzień pierwszej tury opijałi zakłady: czy otrzymam 70 czy 72 proc. Otrzymali 6! Arogancja czy też oderwanie się od rzeczywistości? Jedno i drugie!”.

● PZPR, skupiająca w połowie 80 roku niemal 3 mln 150 tys. członków, liczy dziś niespełna 2 mln 97 tys. osób. Jedną czwartą z nich to aktywiści. Ponad połowę członków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej stanowią inteligenci, a 17,6 proc. — emeryci, i jest to najwyższy udział tej grupy w historii PZPR.

● Zagadką pozostaje nadal skład gabinetu Czesława Kiszczaka, choć nie należy oczekiwać rewelacji. Odmówiła swego udziału w rządzie wice-marszałek Sejmu Zofia Kuratowska (OKP), nie udzielił odpowiedzi Aleksander Gierys. Niezagrażona wydaje się być pozycja Mieczysława Włczka i Aleksandra Kwaśniewskiego.

● Premier Czesław Kiszczak spotkał się z prymasem Polski kardynałem Józefem Glempem, a także z przedstawicielami Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego: Bronisławem Geremekiem, Jackiem Kuroniem i Ryszardem Bugajem.

● Hasło z „Gazety Wyborczej”: „Ich prezydent, ich premier, nasze ucho od śledzia... po cenach wolnorynkowych”.

OŚWIADCZENIE LECHA WAŁĘSY

Przewodniczący NSZZ „Solidarność” Lech Wałęsa przekazał PAP oświadczenie, w którym stwierdza, że podjęte ostatnio przez władze decyzje w sprawie desygnowania nowego premiera, dowodzą w sposób oczywisty, iż monopol sprawowania władzy przez jedną partię ma być nadal zachowany. Zdaniem L. Wałęsy „pogłębia to kryzys zaufania, stanowi dla społeczeństwa potwierdzenie obaw, że nic w istocie się nie zmieniło, że brak nadziei na przyszłość”.

Przewodniczący „Solidarności” opowiedział się przeciwko tworzeniu przez gen. Czesława Kiszczaka nowego rządu i oświadczył, że będzie zabiegał o sfornowanie Rady Ministrów na bazie koalicji „Solidarności”, ZSL i SD.

TELEWIZYJNY HIT TYGODNIA

Za telewizyjny hit ubiegłego tygodnia nasi Czytelnicy uznali, nieoczekiwanie odmienną niż w latach poprzednich, prezentację rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego.

Ryszard Wnuk, księgowy spółki polonijnej (nazwa firmy znana redakcji) z Lublina, Lat 57. — Kanikula trwa i telewizja pławi się w niej po uszy. Ale wie pan, co było dla mnie szokiem? Po Katyniu, choć wciąż jeszcze sami Rosjanie nie postawili do końca kropki nad i, przyszedł czas na wymazanie kolejnej „białej plamy”. Idzie mi o Powstanie. To, że były uroczystości kościelne i państwowe, że pokazano parę okolicznościowych filmów, to normalne, ale kilka programów po raz pierwszy postawiło pytania, których głośno baliśmy się dotąd stawiać. Jeden z londyńskich historyków słusznie zauważył, że dopóki nie ujawni się postawy Stalina i w ogóle ZSRR wobec tragedii Warszawy, pełna prawda o Powstaniu nie będzie możliwa. Wyowiedź jego znalazła się w głównym wydaniu Dziennika. To dobrze.

Rzucenie na stos kwiatu polskiej inteligencji było decyzją dramatyczną, ale decyzją tragiczną było pozostawienie tych ludzi w osamotnieniu. Radio Moskwa zagrzewało lud Warszawy do walki, by potem skazał go na straszną śmierć. Gdyby Powstanie zakończyło się sukcesem (i te słowa także padły w telewizji po raz pierwszy), Rosjanie wkraczaliby do nas jako goście. Pokrzyżowałoby to plany Moskwy w sposób zasadniczy. Po raz kolejny racje polityczne wzięły górę nad moralnością. Katyń, eksterminacja hilerowska (w katowniach gestapo i obozach zagłady ginął najbardziej wartościowy, najlepszy element), a potem Powstanie. Skąd ten naród ma wciąż brać nowych bohaterów? Czy to nie jedna z przyczyn, że Polacy tak zmałeli?

Nawet carat nie odmawiał polskim powstańcom tytułu do chwaly, choć oczywiście ich prześladował. Bał się ich jednak i podświadomie ich szanował. Jak dotąd, przez ponad czterdzieści lat, wyciszano w Polsce los warszawskich bohaterów. Dziś nawiązuje się do korzeni, sięga do prawdziwie polskich uniesień. Czy wszakże nie za późno? Czy można się dziwić, że ktoś, kto od lat działał w imię nie-polskich fobii, przegrywał potem wybory? Dobrze, że jest na podórzedzi sławne porzekadło: Lepiej późno, niż wcale.

Joanna Poleszuk ekonomistka z Lublina, Lat 63. — Kiedy przychodzi dzień 1 sierpnia w radiu i telewizji poszukuje programów, wiadomości, relacji związanych z Powstaniem Warszawskim. Niegdyś panowała w tym dniu cisza lub hałaśliwy, oszczerzy zgiełk. Bohaterów sierpniowych wydarzeń nazywano zdradcami, prowodyrami „bandyckiej fobii”. Mój brat zginął w Warszawie. Miał osiemnaście lat. Kiedy oglądałam telewizyjne przeniesienie spektaklu z Teatru Polskiego, kiedy słuchałam tych wspaniałych pieśni, kiedy słuchałam wspomnień, dotarła do mnie jakby cząstka tej wielkiej euforii, tak tragicznie zakończonej.

Nie dziwię się, że powstańcy, kiedy spotykają się po latach, milkną we wzruszeniu. Może zabrzmi to bluźnierczo, ale oni umierali pięknie; umierali bowiem wolni. Wciąż jeszcze propaganda wokół warszawskiego zrywu nie jest uczciwa, ale tegoroczne obchody były najbardziej uczciwe z dotychczasowych. Proces pojednania się władzy z narodem postępuje; może kiedyś obie te siły w końcu pójdą razem. Modłę się o taki dzień. Wówczas dla Polski otworzy się jasna przyszłość. Wszystko inne z programu telewizyjnego ubiegłego tygodnia, wobec tej rocznicy musi milczeć.

KOMUNIKAT

Lubelskie Wydawnictwo Prasowe zawiadamia P. T. Czytelników, że w związku z znacznym wzrostem cen papieru, a także innych materiałów i usług poligraficznych - wydawniczych, wprowadza nową cenę tygodnika „Relacje” — 120 zł — która obowiązywać będzie od następnego (31) numeru.

Lubelskie Wydawnictwo RSW „Prasa-Książka-Ruch”

BIURO PROJEKTÓW WODNYCH MELIORACJI
w Lublinie, ul. Abramowicka 2 F,

**przyjmie do realizacji jeszcze
w bieżącym roku zlecenia na:**

pomiary sytuacyjno-wysokościowe dla melioracji, wodociągów, kanalizacji, gazyfikacji itp. oraz operaty do wywłaszczeń.

7215/K

PO PIERWSZEJ RUNDZIE

P IERWSZĄ rundę rozgrywki parlamentarną mamy za sobą. Zakończyła się ona — jak sądzę, by użyć nomenklatury sportowej — prowadzeniem na punkty strony rządowo-koalicyjnej (?). „Ich prezydent, ich premier, nasze ucho od śledzia... po cenach wolnorynkowych” — napisała z goryczą „Gazeta Wyborcza” i dobrze to charakteryzuje zaistniałą sytuację. Rząd, partia i koalicja zachowały tyle władzy, ile potrzeba, po oddaniu tego co można. Wybór prezydenta, wybór premiera spośród PZPR raczej nie powinny nikogo dziwić — są prostą konsekwencją umowy „okrągłego stołu”, konsekwencją kurialnego systemu ordynacji wyborczej i rezultatem 65 proc. mandatów posiadanych przez koalicję w Sejmie. I koalicja z mandatów tych zrobiła użytek.

Obywatelski Klub Parlamentarny ustami swego lidera, Bronisława Geremek (wybitny talent parlamentarny, wspaniała polszczyzna), zaprotestował przeciwko kandydaturze gen. Ki-

szczaka, jako członka establishmentu, nie gwarantującego, zdaniem opozycji, zerwania z dotychczasowym systemem rządzenia. OKP odmówił poparcia, odmówił wejścia w skład gabinetu gen. Kiszczaka, sugerował możliwość utworzenia własnego, mniejszościowego rządu. A jednak z możliwości tej nie skorzystał — nie wysunęła opozycja własnej kandydatury. Dlaczego? Kwestia czasu, odpowiedzialności, taktyki. Można jedynie spekulować...

Można również, twierdząc z przekonaniem, założyć, iż nie podjęto w Sejmie próby powołania gabinetu pozaparlamentarnego. Rządu fachowców, jeśli nie bezpartyjnych, to wyraźnie niezależnych od swoich legitymacji czy plaketek, i wyposażenia go w specjalne, czasowe pełnomocnictwa, zaprobowane w Sejmie wraz z konkretnym programem. Coś w rodzaju gabinetu Grabieńskiego z 1923 roku.

Zasmieje się ktoś, że „historia non magistra vitae est”. Być może, lecz czas równie dramatyczny, a wyważa-

nie otwartych drzwi nie jest zajęciem, na które warto tracić czas. Uważam, natomiast, że warto było go „tracić” na dyskusję tak przez niektórych krytykowaną, na temat działalności resortu MSW, praworządności i społecznej kontroli nad MO i SB. Nie jest bowiem rzeczą obojętną, gdy wielkim przemianom w kierunku demokracji towarzyszą, choćby mniejsze, przejawy łamania prawa i swobód obywatelskich przez siły tego świata. I nie jest wcale nadużywaniem poselskiego czasu dociekanie, jaką ma na ten temat opinię przyszedł premier.

Na marginesie: Sejm ożył. Nie jest to już forum głuchych, niemych i posłusznych. Tu również nie ma zaskoczenia. Tego należało się spodziewać, choć niektórych burza, niektórych drażnił ton wystąpień, polemik i replik. Mnie ataki z „kosą na wicepremiera” i zabawne perypetie marszałka raczej śmieszą, niż irytują — są bowiem naturalnym dowodem, że niektórzy parlamentarzyści minęli się z powołaniem i rzeczywistością. Za

to szef radiokomitetu, Jerzy Urban, ma powody do zadowolenia: zafundował telewizorom, i to za darmo, serial o pięć klas atrakcyjniejszy (nie mówiąc o wartościach edukacyjnych) od brazylijskich idiotyzmów z eks-Isaurą w roli głównej. Szkoda tylko, że Jerzego Urbana zabrakło na Wiejskiej; sztuka dialogu trudniejsza od monologu.

A zatem premiera już mamy. Mamy też urynkowanie gospodarki żywnościowej i I wariant indeksacji. Mamy nowe ceny (wyższe), stare półki (puste), nowe strajki. Ludz. zareagował, nauczony doświadczeniami przeszłości, nerwowo i pośpiesznie: wykupił, co się dało i wyciągnął rękę do kasjera. Rolnicy przyjęli postawę „na przetrzymanie” punkty skupu — puste, zakłady mięsne — bezrobotne. Sądzę, że dla społeczeństwa skojarszenia indeksacji i urynkowania z bodźcami materialnymi, manewrem gospodarczym, przyspieszeniem, I i II etapem, rekompensatą i operacją cenowo-dochodową, są nader jednoznaczne. I nie tu, obawiam się, nie pomogą zablokowane apele parlamentarzystów. Jeśli czas nie przyniesie szybkich efektów (czytaj: zaopatrzonych sklepów, przyzwrotnych pieniędzy), staną się one prośbami parlamentarzysty. Oby, nie!

L. W.

POLEMIKA

Z PRAWDZIWA satysfakcją odnotowuję, że aż dwa tytuły — krakowskie „Zdanie” i warszawskie „Perspektywy” — raczyły poświęcić nam nieco swej cennej uwagi.

W 4. numerze „Zdania” w felietonie „Lot wypchanego orła” Lektor (przepraszam, ale jego pseudonim mówi mi jeszcze mniej niż jemu moje nazwisko) wyraził swój niesmak z powodu mego wywiadu z doc. Mieczysławem Krajewskim („Relacje” nr 9/89). Zawtórowały mu piórem „eresia” „Perspektywy” w numerze z 14 lipca. Oto głos Lektora:

„Wywiadowca »Relacji« Leszek Wiśniewski (przepraszam, ale nazwisko niewiele mi mówi) strzela od razu w docenta z grubego kalibru: »Wygląda na to, że oddajecie władzę?« Na co docent Krajewski: »To znaczy, kto?« — »Partia, którą pan od lat reprezentuje, czyli PZPR« — naciska wywiadowca. A docent: »Czas najwyższy. Powiedziałbym, że byłoby szczęściem dla PZPR, gdyby miała komu tę władzę oddać«.

No i proszę! Pamiętam, jak pewien wysoki urzędnik rządowy przyrównywał dyscyplinę dziennikarzy do tej, jaka obowiązuje wojsko i milicję. A tu, po kilku latach, w piśmie wydawanym przez wciąż jeszcze partyjny konsern RSW redaktor Wiśniewski z Lublina powiada do partyjnego docenta »oddajecie władzę«, sugerując tym samym, że on — red. Wiśniewski nic z tymi, co władzę oddają, nie ma. Zaś partyjny docent martwi się, że nikt władzę wzięć nie chce...”

No i proszę, cóż tak zirytowało felietonistę ukrytego pod pseudonimem Lektor! Pytanie! Uczono mnie, że nie ma ambarasujących pytań, są tylko kłopotliwe odpowiedzi, a tu, masz ci los, myliłem się. Widocznie chodziliśmy z Lektorem na inne kursa, ja — z pewnością — na te gorsze. Lektor widocznie dbał o to, by pytania kłopotliwe nie były, przypuszczam, podobnie jak odpowiedzi... A może nie wyglądała na to, by partia władzę oddawała, „okrągłego stołu” nie było, a wybory nam się przysniły?

Ponieważ ostatnio cierpię jednak na bezsensowność, pospół z doc. Krajewskim — jak sądzę — i nie tylko z nim, odpowiem, szanowny Lektorze, że ja niczego nie sugeruję. Ja nie muszę mieć wszystkiego wspólnego z tymi, co władzę oddają. Ścisłej, nie mam od 14 grudnia 1981, kiedy przestałem być członkiem PZPR. Czy muszę mieć dlatego, że pracuję w — jak chce Lektor — wciąż jeszcze partyjnym konsernie RSW? Czy robotnik od Kruppa musi mieć koniecznie poglądy polityczne swego właściciela? Czy wróbel musi być koniem tylko dlatego, że urodził się w stajni? A dokąd to niby, drogi Lektorze, miałem po 7 latach niebytu zawodowego powrócić do pracy, skoro wszystkie pisma w regionie wydaje ten, monopolistyczny niemal, konsern? I gdzie to ja sugeruję, że nie mam „nic wspólnego”? Zdaje się, że to dla Lektora — wszystko albo nic jest jedynym sposobem na dziennikarskie poczynania. Na szczęście, tę drobną różnicę lepiej od krakowskiego felietonisty rozumieją polityczni dysponenti mego pisma w Lublinie. Nie tylko tę, zresztą, różnicę.

Lektora drażni również odpowiedź partyjnego docenta. Szkoda, że wyjmuje ją z kontekstu i tego właśnie kalekiego fragmentu czepia się jak pijany łańcucha od studni. Być może, gdyby doczytał wywiad do końca, znalazłby tam fragment, w którym Mieczysław Krajewski jednoznacznie określa się

jako komunista i mądrze uzasadnia swój polityczny wybór.

Ja komunista być nie muszę. Czy oznacza to, że nie mam prawa stawiać pytań komuniście? Że nie wolno mi pracować w firmie, której gros udziałów ma PZPR? Coś się chyba jednak zmieniło przez te kilka lat w tym kraju i jakoś nikt nie straszy mnie zwolnieniem z pracy z powodu „antysocjalistycznych” wywiadów z partyjnymi docentami. Być może jednak nie pojmuję tego (albo rzną głupa), że taki wywiad może rzeczywiście osłabić partię i doprowadzić ją do zguby.

Lektor w Krakowie widzi to dokładniej, on wie lepiej, co jest dla partii dobre, a co nie. Dlatego sekuje niebezpieczeństwo w zarodku: w pytaniu. Polemika z pytaniem jest oczywiście groteskowa i głupia, byłaby śmieszna i żalonna, gdyby

Otóż, szanowny mój polemisto, przyjmij łaskawie do (ś)wiadomości, że my tu zdezorientowani bynajmniej nie jesteśmy. I to nie my, dziennikarze, zdecydowaliśmy o rozbiórce tego zabytku minionej epoki, wystawionego nam, na urągawisko, naprzeciw katowni UB i NKWD na lubelskim Zamku. Zdecydowała o tym presja społeczna i stanowisko redakcyjne MIRM. W czym, jak sądzę, mieliśmy swój skromny udział, podobnie jak i w rzetelnie, bez histerii prowadzonej dyskusji na temat stalinizmu i bierutowszczyzny. Określenie „historyczna dintojra” wobec stanowiska lubelskiego zespołu poselskiego w sprawie Bieruta pomnę, gdyż jest ono niesmaczne i wskazuje w oczywisty sposób, że autor po prostu tego dokumentu nie czytał.

Jeśli jednak Lektor tak bardzo tęskni za widokiem towarzysza Tomasza, to nic prostszego, by

WAGOWI ODWAGI

Leszek Wiśniewski

nie przypominała czasów wspomnianego przez Lektora urzędnika, przyrównującego dyscyplinę dziennikarzy do wojskowo-milicyjnych rygorów. Cóż, nie wybiera się czasów edukacji, można sobie tylko wybrać lekturę i nauczyciela. Lektor koniecznie widać chce być moim mistrzem, przeto przekazuje mi kilka cennych rad i poleceń.

„Warto jednak, by oddzielił [to znaczy ja — L. W.] sobie kiedyś odwagę »na pokaz« od odwagi prawdziwej; mogą przyjść czasy, kiedy takie różnice staną się ważne i wtedy będzie mniej przyjemnie”.

Mocno powiedziane. Odważnie. Tylko jakoś ni jak nie mogę się przestraszyć tego „mniej przyjemnie”. Już było, jeśli o to chodzi Lektorowi. Wtedy udało mi się oddzielić odwagę od strachu i, jak dotąd, nie zdołały się one skleić. I czym to niby usiłuje mnie przestraszyć krakowski nauczyciel lubelskich kadr dziennikarskich? Jakie to różnice „staną się ważne” — czy te, do zatarcia których jakby dąży się ostatnio nie tylko w dziennikarstwie? I wreszcie, czy mógłby mi lektor zdradzić swoją cudowną tajemnicę oddzielenia „odwagi na pokaz” od „prawdziwej”? Widać z tego, że dla niego istnieje też prawdziwa i na pokaz publiczystyka, uczciwość, prawda. A czy istnieje prawdziwe i na pokaz oddawanie władzy, drogi Lektorze?

Nie podoba się Lektorowi (nazwisko i adres znane redakcji... „Zdania”) także działalność moich lubelskich kolegów. Pisze: „Sprawa katyńska, wyrzucanie Bieruta (czy Bierut był polskim Stalinem?) — pytają zdezorientowani dziennikarze, a lubelscy posłowie domagają się wręcz historycznej dintojry) z grona patronów mogących przyswiecać naszej pluralistycznej rzeczywistości, tajemnice UB i NKWD, pamiętniki łagrowe, to znów Wilno, i Lwów, i Drohobycz...”

To się Lektorowi już nie mieści w głowie. No bo jakże to? Takie sprawy nie na nasze przecież, lubelskie głowy. Co innego w Warszawie czy Krakowie, tam się lepiej na tych mądrych sprawach rozumieją. I Bieruta chcemy wyrzucić z postumentu, koniec świata! Człowieka, który mógłby przyswiecać waszej, bo nie naszej, Lektorskiej „pluralistycznej rzeczywistości”.

podjął akcję na rzecz przeniesienia spiżowej postaci w damskim płaszczu z Lublina do Krakowa. Chętnie będziemy taką akcją wspierać.

Co do innych tematów, odnotowanych przez zdegustowanego Lektora, jak: łagry, Katyń, kresy itp., nigdzie nie wyczytałem, że są to sprawy zarezerwowane dla dziennikarzy tzw. prasy centralnej, że nie wolno o nich pisać w Lublinie, Białymstoku czy Rzeszowie. I niech Lektor nie udaje (w kwietniu 1989), że nie rozumie tej fali nawrotu do lat 1939—56. Czy i to godzi w ustroje i pozycję partii, czy też służy czemuś dokładnie odwrotnemu? Czy o tych bolesnych, wymagających ostatecznego powiedzenia prawdy i — zamknięcia, sprawach naszej polskiej i radzieckiej współczesności mamy mówić od 8 stycznia do 27 marca, czy też tak długo, aż zniknie ostatnia cegła stalinowskiego muru nienawiści, nieufności, lęku? Sam sobie, redaktorze Lektorze, na to odpowiedź!

Balamutne sugestie co do ulegania przez „Relację” modzie i nastojom protokrutują jako dowcip, zachęcając felietonistę „Zdania” do lektury: „Prawdy”, „Polityki”, „Ogonioka”, „Przeglądu Tygodniowego”, „Moskiewskich Nowosti” i... dokumentów Krajowej Konferencji Delegatów PZPR.

Krakowski nauczyciel znalazł godnego słuchacza i chórzystę w niejaki „eresiu” z „Perspektyw”. Cytuje on w tekście „Odwaga znowu drożeje” obszernie Lektora i dopisuje swoje trzy grosze: „A jednak to nieprawda, że odwaga znowu stanęła. Stanięła pseudoodwaga, taka właśnie jaką zaprezentował red. Wiśniewski. Przypominają się słowa Byrona: »gdy nadchodzi godzina wrogości, wszyscy stają się odważni wobec tego, kto upadł«.”

Otóż i następny wagowy pseudoprawdziwości. Tego spytam krótko: kto upadł i kiedy wybiła godzina wrogości?

Jeśli zaś miarą odwagi ma być twórczość „eresia” i jego rubryka „Obserwacje”, to istotnie, moja jest bardzo tania.

„Wolność prasy — napisał kiedyś Karol Marks — polega na tym, że wolno pisać to, co wolno”. Widocznie Lektor i „eres” czytali klasyków niezbyt dokładnie, za to brali zbyt dosłownie. Obu panom życzę dalszych sukcesów w upowszechnianiu prawdziwej odwagi.

„Byliśmy tak szykanowani, że żyć się odechciewało”

SPOSÓB NA LOKATORÓW

Izabella Wlazłowska

TYLE lat przeżyłam, mieszkając tutaj, a nikt dotąd nie wyzywał mnie od starych wariatów. Tak mnie szykanują, że boję się wychodzić z mieszkania. Nie pozwalają nikomu z rodziny, by mnie odwiedzał — mówi starsza pani lekko, podchodzi do drzwi i nasłuchuje. — Oni jeszcze gotowi są i panią wyrzucić.

— Dam sobie radę — uspokajam panią B.

— Ale dzisiaj tyle u mnie osób, że chyba mi tego nie darują.

Właśnie z panią B., jej synem i znajomą wróciłam z sądu z kolejnej rozprawy o eksmisję z mieszkania.

Właścicielami domu z ogrodem są od 1985 roku dwaj adwokaci: ojciec i syn. Kupili tę nieruchomość od poprzednio mieszkającej tu właścicielki.

— „Matka z ojcem zamieszkali tutaj w 1944 roku, otrzymując z urzędu przydział na mieszkanie — mówi syn pani B. — Dokąd żył ojciec, obydwa adwokaci jakoś jeszcze tolerowali moich rodziców, bo ojciec pomagał im przy sprzątaniu posesji. Po jego śmierci usłyszałem od starszego adwokata: „Ja się z pańską matką nie będę oprotolił. Rodzice kupili panu na własność M-5, to może pan trzymać matkę u siebie. Proszę ją sobie zabrać”.

Mam troje dzieci, w tym jedno jest poważnie chore. Opiekujemy się matką, która chce mieszkać we własnym mieszkaniu. Kiedy się źle czuła, to wnuczka przychodziła spać u babci, ale tak ją właściciele wystraszyli i

psem poszczuli, że sama boi się tu przychodzić. Nie chcieli od matki przyjmować czynszu, a teraz w sądzie to stanowi powód do eksmisji. Ze matka nie płaci im za mieszkanie.

— Ja też boję się odwiedzać panią B. — mówi jej znajoma. — Kiedyś zastukałam tylko do drzwi pani B., a już z przeciwka wypadła żona starszego adwokata i zaczęła krzyczeć, że nie pozwoli się tłuc po jej domu nikomu obcemu i że mam się stąd wynosić.

— Najgorsze jest to — mówi syn pani B. — że w całym Lublinie nie mogliśmy znaleźć obrońców dla matki. Każdy adwokat, do którego zwróciliśmy się, natychmiast odmawiał obrony dowiedziawszy się, że za przeciwników będzie miał rodzinę adwokatów. Bo i córka również jest adwokatem. Na szczęście znalazł się jeden, który przed sądem bronił moją matkę oraz rodzinę młodych państwa J., którzy też są lokatorami w tym domu.

— W domu tym od 1944 roku — mówi Anna J. — mieszkała babka mojego męża. Przydział na mieszkanie rzucił z urzędu. Tak się ułożyło życie Sławka, że właścicielka wychowywała go babka. W Lublinie skończył szkołę podstawową, również liceum. W 1975 roku będąc już dorosłym, zameldował się w mieszkaniu babci na stałe. Staruszka zmarła w 1978 roku. W dwa miesiące później zameldowałam się i ja. Sławek wyrokami sądu ze stycznia 1979 roku wystąpił w stosunek najmu po zmarłej babci. Jest to mieszkanie

lokatorskie i mieszkamy w nim legalnie. Wszystko było dobrze do czasu, gdy w 1985 roku nieruchomość nabyła rodzina adwokatów.

Już podczas pierwszej wizyty w naszym mieszkaniu nowy właściciel w sposób bardzo niegrzeczny zarzucił nam, że mieszkanie zajmujemy nieprawie, a wyrok sądu, na mocy którego otrzymaliśmy z Wydziału Lokalowego Urzędu Miasta przydział, wydany został przez niekompetentne osoby. Powinniśmy się wyprowadzić jak najszybciej, bo nasz pokój z kuchnią potrzebne mu są dla syna. Jego syn po drugiej stronie korytarza zajął dwa pokoje z kuchnią. Zapytałam — gdzie mamy się wyprowadzić. Może do ogródka? „Ogródek też jest mój” — usłyszałam.

Od tego czasu zaczęto urządzać nam awantury, legitymować odwiedzające nas osoby i wyrzucać je z posesji. Kiedyś żona starszego adwokata napadła na mojego męża, który poprosił, by nie wypuszczać psa bez opieki, bo dzieci boją się go. Okładała męża kpaciem krzycząc: „Ty bydłaku, ty chamlu, jak śmiesz mieszkać w moim domu, mając dom w Bródku!” W Bródku mieszkają moi rodzice. Ciągłe awantury mają chyba na celu sprokowanie mnie i mojego męża do rekwizytów, bo sprawa karna wytoczona nam przez adwokatów bardzo by im pomogła w wyeliminowaniu nas z mieszkania. Oczywiście obydwa adwokaci rozpoczęli przeciwko nam kampanię

nie sądową. Doszło do tego, że żaden adwokat nie chciał wziąć naszych spraw. Byliśmy tak szykanowani, że żyć się odechciewało. No ale przecież ja cała sprawiedliwość jeszcze istnieje, prawda?

27 LISTOPADA 1988 r. właściciel nieruchomości wniósł przeciwko rodzinie J. pozew do sądu o eksmisję z lokalu mieszkalnego. W uzasadnieniu pozwu starszy adwokat napisał: „Pozwani traktują mieszkanie w Lublinie jako »rezydencję zimową«, a w okresie od wczesnej wiosny do późnej jesieni wyjeżdżają do miejscowości Bródka, gdzie posiadają inne mieszkanie... Pozwany nigdzie nie pracuje, nie pracuje też jego żona, a utrzymują się wraz z rodziną ze środków niewiadomego pochodzenia... W ciągu dnia w mieszkaniu jest cisza. »Ruch« zaczyna się wieczorem i w nocy, kiedy to pozowani i osoby do nich przychodzące zakłócają spokój nocny... Pozwani celowo zakłócają mir domowy. Celowo tłuką drzwiami, tłuką nogami po podłodze, a nierzadko rzucają ciężkimi przedmiotami, aby wywoływać hałas w ciągu niemalże całej nocy... Już po opuszczeniu mieszkania przez poprzednią właścicielkę powód został poinformowany przez nią, że zasadniczym powodem zbycia nieruchomości były »szykany« ze strony Sławomira J., który w zajmowanym lokalu »urządzał orgie pijackie, awantury«, oddawał lokal w użytkowanie innym osobom, »zaśmiecał otoczenie domu« i »terroryzował właścicielkę w taki sposób, że zmuszona była ukradkiem przemykać się pod murem domu«...”

— Na poparcie tezy, że jestem pijackim — mówi Sławomir J. — adwokaci nasłali na mnie milicję. Żona wyjechała wtedy z dziećmi do rodziców, a ja z kolegą wróciłam akurat z delegacji. Było późno, więc kolega zanocewał u mnie. Adwokaci, korzystając ze znajomości z kapitanem MO o tym samym nazwisku, spowodowali, że o godzinie drugiej w nocy, bez żadnych wyjaśnień zostałem zabrany wraz z kolegą z własnego łóżka i zawieziony do Izby Wytrzeźwień. Byliśmy obydwa trzeźwi i żądaliśmy pobrania od nas krwi. Odmówiono nam tego. Zostaliśmy postawieni przed Kolegium ds. Wykroczeń za rzekome zakłócanie spokoju nocnego w stanie nietrzeźwym. Po trzech rozprawach zostaliśmy uniewinnieni. Adwokat, którego poprosiłem do obrony mnie przed kolegium, kiedy zobaczył moich przeciwników, w ogóle zaniechował. Sam się musiałem bronić.

Rzucił go tak kilka razy, nie reagując na błagania o litość ...

TUŻ po godzinie dwudziestej oficer dyżurny RUSW w Rzeszowie otrzymał lakoniczną wiadomość telefoniczną: — „Trup w »wykańczalni« przy Wróblewskiego!”

Dzielnica dworcowa nie cieszy się dobrą opinią, nie brakuje w niej zaniedbanych kamienic i ludzi bez nadziei. W mieszkaniu zwanym „wykańczalniami” zapilo się na śmierć już sześciu alkoholików. Kiedy milicjanci przekroczyli próg tej meliny, musieli pozaykać nosy: zaduch, odór moczu, alkoholu i stęchliny.

— Kanapkę znowu szlag trafi! — westchnął ppor. Roman Serwin. Żona znowu pomarudzi, że wraca nad ranem, budzi dzieci i do pojemnika na suchy chleb wyrzuca całkiem strawne kromki z krakowską.

Apetyt mała! wprost proporcjonalnie do czasu trwania oględzin miejsca zdarzenia. Zakurzona wnęka wypełniona węglem i śmieciami, po kątach przewracały się puste butelki po denaturacie, spirytusie salicylowym i kroplach walerianowych. Rozbita kanapa, strzaskany taboret, stłuczka szklana, kula inwalidzka w trzech kawałkach. Na zwiniętym chodniku na podłodze leżały zwłoki głównego najemcy lokalu.

48-letni Włodzisław Grek, nałogowy alkoholik, żył w separacji z żoną. Zasilek sojejalny starzał mu ledwie na kilka dni, a zamroczony denaturatem „Włodziu” nie zawsze nawet wykorzystywał kwitki na obiady w pobliskiej „Popularnej”. Fakt, że niedowład kończym utrudniał mu chodzenie, więc wolał biesiadować na miejscu. Popijano u niego chętnie i o każdej porze doby, rącąc sąsiadów smrodem nieczystości i „jagodziańki na kościach”, która — bywało — wylewała się spod drzwi strugą, stwarzając tzw. zagrożenie pożarowe...

Wygląd zwłok wyraźnie wskazywał, że siódmy w tej melinie nieboszczyk nie zszedł z tego pałodu dobrowolnie. Ktoś mu w tym dopomógł, i to bardzo energicznie: złamanie kości udowej, pęknięcie talerza biodrowego, rozzerwanie mięśni pośladków i obu ud oraz rozległe rozsiane podbieg-

nięcia krwawe, plecy jak jedna wielka rana...

Ustalono, że Grek zabijany był na cztery sposoby. Po pierwsze — wielokrotnie rzucono nim z dużą siłą o podłogę. Po drugie — był bity głową o ścianę. Po trzecie — okładany metalową kulą inwalidzką, która rozleciała się na trzy części, a potem bity drugą kulą dotąd, aż się wygięła. Po czwarte — walony drewnianym taboretem

gdzie popadło. Zgon nastąpił wskutek wykrwawienia wewnętrznego. Zabijaniu na raty przyglądało się cztery osoby, dwóch starszych mężczyzn i dwie kobiety. Nie reagowali, oszołomieni denaturatem...

Częstym gościem „wykańczalni” był 30-letni Ludwik Szymanek, nigdzie nie pracujący i karany wielokrotnie za przestępstwa kryminalne. Może on? Po spożyciu alkoholu ma skłonność do wywoływania awantur i bójek. Był poszukiwany przez milicję za znęcanie się nad swoją kolejną narzeczoną i jej dziećmi. Podejrzewał Greka. Ze Grek wskazał glinom miejsce jego pobytu. Wykrzykiwał Szymanek przecież, że „tych wszystkich konfidentów wyzabija”, jest to chłop silny, porywczy i stał go na pełnienie akurat takiej zbrodni...

CALA noc ppor. Roman Serwin i jego kole-dzy wędrowali po melinach, oazach zabarykadowanych smrodem i przekleństwem. Wreszcie dopadli Szymanka. Zatrzymali go w jeszcze gorszej melinie przy Bernardyńskiej. Razem z nim poszła do aresztu 27-letnia Joanna Jońska, jego aktualna dziewczyna.

Szymanek „szedł w zaparte”. Opowiadał o ciężkim dzieciństwie i swoich uzdolnieniach. Na dowód tego, że nie kłamie, w obecności przesłuchującego go oficera skopiował uroczą dziewczynę z wiszącego na ścianie kalendarza, nawet całkiem udanie.

— W szkole nie byłem złym uczniem, najbardziej lubiałem historię i geografię. W zawodówce

CZTERY ETAPY

Henryk Makarski

gdzie popadło. Zgon nastąpił wskutek wykrwawienia wewnętrznego. Zabijaniu na raty przyglądało się cztery osoby, dwóch starszych mężczyzn i dwie kobiety. Nie reagowali, oszołomieni denaturatem...

Częstym gościem „wykańczalni” był 30-letni Ludwik Szymanek, nigdzie nie pracujący i karany wielokrotnie za przestępstwa kryminalne. Może on? Po spożyciu alkoholu ma skłonność do wywoływania awantur i bójek. Był poszukiwany przez milicję za znęcanie się nad swoją kolejną narzeczoną i jej dziećmi. Podejrzewał Greka. Ze Grek wskazał glinom miejsce jego pobytu. Wykrzykiwał Szymanek przecież, że „tych wszystkich konfidentów wyzabija”, jest to chłop silny, porywczy i stał go na pełnienie akurat takiej zbrodni...

CALA noc ppor. Roman Serwin i jego kole-dzy wędrowali po melinach, oazach zabarykadowanych smrodem i przekleństwem. Wreszcie dopadli Szymanka. Zatrzymali go w jeszcze gorszej melinie przy Bernardyńskiej. Razem z nim poszła do aresztu 27-letnia Joanna Jońska, jego aktualna dziewczyna.

zdoylem fach hydraulika i nawet zaocześnie próbowałem ukończyć technikum, ale atmosfera w hotelu robotniczym nie sprzyjała nauce. A pracę w kopalni porzuciłem, gdy zobaczyłem wypadek, koleżka obcięła nogę, Jezuuuu!

Potem zacząłem się u takich jednych dziadków na roli. Harowałem jak wół, z nadzieją, że przepiszę na mnie gospodarke, nawet kurs rolniczy skończyłem. Dziadek był już słabego zdrowia i majątek zapisał rejentalnie. Ale nie mnie, tylko synowi, choć ten sukinynek brzydził się ziemią, bo mu śmierdziała. Odszedłem. A potem rozbilem dorywczo u teściów.

Małżeństwo się z czasem rozleciało, żonie bowiem nie spodobało się, że jako oborowy w PGR musiałem do dojenia krów wstawać dzień w dzień o trzeciej nad ranem, a ona wyspać się nie mogła. Więc uciekla z naszego pięknego 2-pokojowego mieszkania pegeerowskiego w starym pałacu, wróciła do rodziców. I czy to nie pech?

Potem wojsko. W wojsku piliśmy płyn do mycia szyb samochodowych, „Lazuron”. Potem dowództwo zanieczyszczało go naftą, jak się kapnęli. Ale wzięliśmy się na sposób, Polak potrafi,

ZASIEGNEŁAM języka w okolicy posiadłości obydwu adwokatów, chcąc się dowiedzieć, czy ongię pijakie, awantury i nocne życie małżonków J. jest uciążliwe dla mieszkańców tej niedużej ulicy. Wszyscy pytani robili zdziwione miny. Nikt tych zarzutów nie potwierdził, chociaż wszyscy wiedzieli o konflikcie adwokatów z lokatorami.

— Mam wyższe wykształcenie pedagogiczne — mówi Anna J. — i aktualnie przebywam na urlopie wychowawczym. Mam córkę i dwóch synów. Mieszkamy, jak pani widzi, w pokoju z kuchnią. Przecież to zrozumiałe, że mieszkanie to nie jest naszym docelowym. Wyprowadzimy się z niego, ale może to jeszcze trochę potrwać. Kiedy starszy adwokat zaatakował moje dzieci, nie wytrzymałam i napisałam skargę do Dziekana Izby Adwokackiej.

Z pisma: „Adwokat wystąpił z pretensją, że moje „dzieci“ zachowują się hałaśliwie (określenie „dzieci“ jest moim określeniem). Stwierdził tonem niegrzecznym, że są to debile wychowywane na wsi, które nie potrafią się zachować w jego domu. Określenie to powtórzył kilkakrotnie w obecności mojej 6-letniej córki... Chciałabym wyjaśnić, dlaczego określenie moich dzieci debilami uważam za wyjątkowo perfidne, wyrządzające dzieciom krzywdę i bolesnie godzące we mnie jako matkę. Nasza córka w okresie niemowlęcym była ciężko chora, przeszła operację głowki. Lekarze dawali niewiele szans na przeżycie... Teraz jest zdrowa, chodzi do normalnej szkoły... Musi być co pewien czas kontrolowana przez neurochirurga i to kwalifikuje ją do rzędu dzieci specjalnej troski... Określenie mianem debila dziecka zupełnie zdrowego jest zwykłą obelgą”.

— Sąd Dyscyplinarny Izby Adwokackiej — mówi Anna J. — umorzył postępowanie w zgłaszanych przez mnie sprawach. Po kolejnym incydencie wystąpił do PZPR, którego członkiem był adwokat.

OD przewodniczącego Miejskiej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej w Lublinie dowiedziałam się, że po pierwszym postępowaniu prowadzonym przeciwko adwokatowi otrzymał on karę upomnienia. Sądono, że wpłynęła ona wychowawczo na postępowanie adwokata względem osób skarżących. Po kolejnych skargach i przeprowadzonym postępowaniu wyjaśniającym 17 grudnia 1987 roku został on wydalony z PZPR.

— O perfidnym sposobie szykanowania nas przez rodzinę adwokata — mówi Anna J. — świadczy i to, że usiłowano narobić nam „brudów“ w miejscach naszego zatrudnienia. Zona adwokata napisała do Kuratorium Oświaty i Wychowania paskwil na mnie i ciotkę męża, również nauczycielkę, która czasami nas odwiedzała. Proszę przeczytać, w jakim stylu podpisana u dołu pani magister donosi na mnie:

„Mąż Aliny J. jest agentem w Młodzieżowej Agencji Kultury ZSMP w Zamościu i prowadzi na własny rachunek „kasyno gry“ w Tomaszowie Lubelskim. Wiadomo mi, że jest podatnikiem podatku obrotowego i dochodowego. MAK jest mistyfikacją. Sławomir J. przebywa zawsze w Lublinie, a jego „kasyno gry“ prowadzą „murzyni“. Wiem, że matce, której mąż jest podatnikiem podatku obrotowego i dochodowego, nie przysługuje prawo do zasiłku wychowawczego. Anna J. wyłudza więc nienależne świadczenia, oszukuje Skarbu Państwa i winna z tego powodu odpowiadać odrębnie za wyłudzenie mienia społecznego... Mieszkanie J. to ośrodek życia towarzyskiego dla całej okolicy. Sprawdzają do swego mieszkania całe tabuny ludzi... Od sąsiadów wiem, że Sławomir J. był wcześniej, zanim zajął się prowadzeniem „kasyna gry“ — „profesorem“. Na myśl o tym, że w gronie przyszłych „wychowawców“ moich wnucząt mogą znaleźć się podobne osoby, ogarnia mnie przerażenie”...

— Kiedy mąż odchodził z pracy w Szkole Podstawowej Nr 16 w Lublinie — kontynuuje Anna J. — otrzymał taki oto dyplom: „Dyrekcja szkoły składa panu serdeczne podziękowanie za dwuletnią zaangażowaną i aktywną pracę w nowo organizowanej szkole. Jest pan przykładem wzorowego nauczyciela spełniającego swój pedagogiczny, obywatelski i patriotyczny obowiązek wobec uczniów szkoły i Ojczyzny. Życzymy panu dalszych sukcesów“. Podpisał dyrektor Marian Paśka. Niestety, z nauczycielskiej pensji męża nie mogliśmy się utrzymać, dlatego mąż zmienił pracę.

— Wybrał się więc starszy adwokat do Zamościa — mówi Sławomir J. — by i tam narobić mi „brudów“. W miejscu mojego zatrudnienia przedstawił się jako prokurator prowadzący sprawy przeciwko mnie o dużą kwotę pieniędzy. Musiałem się bronić. Złożyłem skargę do Prokuratury Rejonowej w Zamościu. Niestety, prokurator dał

wiarę wyjaśnieniom adwokata, który jako zawodowy prawnik dobrze wie, jak ma się tłumaczyć, by nie narazić się na odpowiedzialność. Sledstwo przeciwko adwokatowi zostało umorzone. Wniosłem zażalenie do Prokuratury Wojewódzkiej w Zamościu. Otrzymałem właśnie zawiadomienie, że Prokurator Wojewódzki uwzględnił moje zażalenie i uchylił postanowienie Prokuratora Rejonowego w Zamościu.

ROZMAWIAM ze starszym adwokatem i jego córką, która podczas nieobecności matki (wyjechała za granicę) zajmuje się domem. Ze starszym adwokatem i jego synem miałam już okazję poznać się w sądzie, podczas rozprawy o eksmisję pani B. Doszło wtedy między nami do ostrej wymiany zdań. Adwokaci usiłowali usunąć mnie z sali rozpraw, chociaż jako zawodowi prawnicy powinni wiedzieć, w jakich sytuacjach dziennikarz może uczestniczyć w rozprawie sądowej.

Dla mnie rozmowa ta nie była przyjemna, mimo iż odbywała się w sposób kulturalny. Wysłuchałam więc ponownie tego, co zdażyłam już przeczytać w dokumentach pisanych przez adwokatów na swoich lokatorów. Nie obeszło się też bez epitetów pod ich adresem. I to była właśnie różnica, która wyraźnie zarysowała się podczas moich rozmów z lokatorami. Od nich, mimo iż wylewali do mnie swe gorzkie żale, nie usłyszałam ani jednego epitetu pod adresem rodziny adwokatów.

— Kupując dom, zdawali sobie państwo sprawę z sytuacji prawnej nieruchomości i mieszkających tu lokatorów — mówię. — Przecież nie można ludzi wyrzucić na ulicę.

— To jest nasza własność — usłyszałam — a oni mieszkają tu nieprawnie.

Wystąpił więc adwokat do sądu o wznowienie postępowania w sprawie wejścia w stosunek najmu lokalu przez Sławomira J. Sąd skargę odrzucił i pouczył: „Skarżący 9 I 1986 r. złożył do Urzędu Miasta wniosek o cofnięcie wydanego na rzecz Sławomira J. przydziału lokalu nr 5. Skarżący, kupując nieruchomość, wiedział, na jakiej podstawie powód zamieszkuje sporny lokal, bowiem przejął całą dokumentację domu od Anny Ł., a zatem wnosząc skargę, uchybił terminowi prze-

widzianemu w art. 407 kpc... Skargę o wznowienie postępowania może złożyć strona, która była pozbawiona możliwości działania. W czasie trwania procesu współwłaścicielami budynku byli m. in. Ł., od których udział nabył następnie skarżący i oni bądź ich spadkobiercy mogli żądać wznowienia postępowania. Nie ma takiego prawa samoistny nabywca prawny Ł. w wyniku sukcesji singularnej”...

— Ponieważ adwokat nie chciał przyjmować od nas czynszu, każąc nam natychmiast wynosić się z mieszkania — mówi Anna J. — wystąpiłam do Urzędu Miasta o ustalenie wysokości czynszu za zajmowany przez nas lokal i kwoty te składamy do depozytu sądowego. Wysłałmy też przekazem pieniądze za używanie wody, ale adwokat pieniędzy tych nie przyjął i zaskarżył całą sprawę najpierw do Urzędu Wojewódzkiego, a potem do Naczelnego Sądu Administracyjnego. NSA oddał skargę adwokata.

W WYDZIALE Lokalowym Urzędu Miasta w Lublinie dowiaduję się, że budynek stanowiący własność adwokatów nie jest wyłączony spod szczególnego trybu najmu i mieszka tam dwóch lokatorów na podstawie decyzji administracyjnej.

— Jaki jest więc sens procesu o eksmisję, skoro powszechnie wiadomo, że właściciel, chcąc pozbyć się lokatorów, powinien im zabezpieczyć mieszkanie? A to najszybciej może być spełnione, jeżeli obydwie strony go prostu się dogadają — pytam w urzędzie.

— Oczywiście, że sens jest i to właśnie adwokaci wykorzystują. Chcąc się pozbyć lokatorów, właściciel musi im zabezpieczyć lokal zamieszkiwany, zgodnie z obowiązującymi normami, a więc od 7 do 10 m kw. powierzchni mieszkalnej na osobę, nie licząc kuchni, łazienki, itd., i o takim samym standardzie, jak lokal zajmowany. Przy wyroku eksmisyjnym można przekwaterować ludzi do tzw. pomieszczenia zastępczego, w najgorszym przypadku — jednej izby, bez kuchni i ubikacji. Musi mieć ona tylko trzon kuchenny, elektryczność oraz zabezpieczony dostęp do wody. Różnica jest zatem istotna, prawda?

Wyrokiem Sądu Rejonowego w Lublinie oddalony został pozew o eksmisję przeciwko Sławomirowi J. Wyrok nie jest prawomocny. Sprawa o eksmisję pani B. wciąż jeszcze trwa.

no nie? Wsadzało się rurkę do butelki i piło, a nafta jako lejsza zostawała na wierzchu. Potem to już piłem płyn po gołębim „Wars“. Później krótki pobyt w szpitalu psychiatrycznym i do cywila. Przegonili mnie z tego wojska, nie nadawali się. Nie to nie!

Wedrowałem po melinach Przemysła i Rzeszowa. Gdy miałem pieniądze, to piłem kupczą wódkę, ale z kumplami to najczęściej dyktę, bo po dykcie na drugi dzień głowa nie boli...

Greki był w pewnym sensie moim kolegą i dlatego czasami nocowałem u niego. Te schorzenia

— Niech się porucznik nie denerwuje, szkoda nerwów na takiego szmalawca, na takie lajno! Powiem, jak było, to żadna tajemnica, świadkowie są. Tak, chcieliśmy się dopić i poszliśmy do Greka. Było u niego już dwóch starszych gości i dziewczyna, która się wabiła „Kołysanka“. Po skończeniu rozmajonej „wódki“ Greka chciałem, byśmy wypili moją, ale on ją schował pod poduszkę, niby na później. To się zdenerwowałem i uderzyłem go parę razy ręką. Uderzenia zadawałem z siłą przeciętną, ani za mocno, ani za słabo, w sam raz. Nadal nie chciał oddać mojej

skutecznie, że ten przeleciał przez cztery schodki i zatrzymał się dopiero na ścianie. W międzyczasie obrabował jednego z nich z zegarka delbana i kluczy. Oberwało im się także kulą po gębach. Ale najmocniej bity był Grek.

— Prosiłam Ludwika, by przestał kałować Włodzia, próbowałam odciągnąć, ale nic nie pomogło, jeszcze sama oberwałam — zeznała „Kołysanka“, która od trzech lat pije nałogowo alkohol, to znaczy „denaturat i wszystko, co się pali“.

Kiedy Szymanek „uspokoił“ w kuchni „Kołysankę“, znowu zaczął rzucać kalekim gospodarzem. Ten broczył krwią z błagał o pomoc o zmiłowanie. Bijąc, Szymanek zdierał z niego odzież. Gdy Grek leżał już bez oznak życia, jeszcze wpychał mu szmatę do ust i kazał zjeść. I krzychał: „Ty sprzedawczyku, pójdź do pierdła, ale ciebie zabiję“. Na zakończenie dopił denaturat i zagroził obecnym, że jeżeli odważą się wyjść wcześniej niż kwadrans po nim, to...

W pierwszej fazie przesłuchań Joanna Jońska twierdziła, że nawet chciała pomóc ofiarom Szymankowej przemocy, ale była bezsilna wobec przewagi fizycznej „narzeczonego“. Skąd zatem krew na jej nodze i jej bucie?

— No dobrze, było tak. Tego młodszego dziadka, który prosił mnie przedtem o wyprowadzenie z mieszkania, uderzyłam w twarz, biłam go ze trzy razy pięścią i otwartą dłonią. A krew stąd, że te stare pedały zabierały się do mnie, dotykały — przyznała w końcu.

„Dziadkowie“ twierdzą, że Szymanek był, a Jońska grzebała im w kieszeniach. Wzięła pieniądze, zdjęła delbanę. Są „dziadkami“ tylko z wyglądu: jeden ma zaledwie 56 lat, drugi niewiele więcej.

— Zabito człowieka w centrum wojewódzkiego miasta, w obecności współbiedniaków. Cztery osoby patrzyły na tę śmierć... — mówi spokojnie ppor. Roman Serwin. Spogląda ze wstętem na kanapkę z krakowską. Jest dziesiąta trzydziestego rano.

Podobno Włodzimierz Grek wybrał się nazajutrz do poradni odwykowej w Jarosławiu. Nie zdażył...

PS. Imiona i nazwiska uczestników tragicznej łbacji zostały zmienione.

ZABIJANIA

nóg to on miał z wódki. Bywali u niego też „Bonifacy“, „Andrut“, „Inżynier“ i inni. Z nimi to często na ławce na plantach piliśmy krople nasercowe, żółdkowe i dyktę, czyli denaturat. Napoje te spożywałam po to, aby się opić. Dostarczał je „Inżynier“ który miał znajomości w aptece i ludzką wykład. Chodził po kilka razy, bo nie chcieli sprzedać więcej niż pięć opakowań.

Tamtego dnia wypłem na plantach sześć butelek kropli nasercowych, dwa razy krople żółdkowe i litr wódki, powstałej z rozmajenia, czyli rozcieńczenia denaturatu, który to litr wypiliśmy we trzech. Później piliśmy na Bernardynskiej. W połowie wyszliśmy, żeby gdzieś się dopić. Na plantach nie można było, bo przechadzali się gliniarze w mundurach...

„Przyzna się czy nie przyzna? Już teraz jestem przekonany, że to on...“ — pomyślał Serwin.

— No mów dalej, śmiało, przecież wiem, że dopić się poszliśmy do „Włodzia“, tak czy nie?! I wiem, że nie chciałeś go zabić, ale jakoś tak głupio wyszło, tak czy nie?! — krzyknął.

„wódki“, to go trochę postukałem kulą po pośladkach. Cały czas klóciłem się z nim, więc aż do mojego wyjścia musiał być przytomny. Na koniec wyszliśmy, ja z Jośką, od niego. I to wszystko...

TO wszystko“ w świetle zeznań świadków przybrało nieco inny obraz. Libacja zapowiedziała się okazała, była nawet zakąska w postaci bułki z salcesonem i kaszanką. Rozlano granatowy trunek w kieliszki i wtedy Szymanek dostał białej gorączki. Podniósł Greka na rękach wysoko do góry (Szymanek to ponad 90 kg i 195 cm, Grek — ledwie 57 kg) i powiedział: „Zobaczmy, czy masz miękki kregosłup“, po czym rzucił nim o podłogę. Rzucił go tak kilka razy, nie reagując na błagania o litość.

„Dziadkom“ zabronił wychodzić z mieszkania. Kazał im klęczeć twarzą do ściany, poszturchiwał, lżył: „Wy, kurwy miłocyjne“, szarpał za włosy i brody. Kiedy wstali (nie żeby przeszkodzić w katowaniu gospodarza, ale by ulotnić się „po angielsku“), jednego z nich tak pchnął na fotel, że mebel rozleciał się na kawałki. Drugim „dziadkiem“ otworzył drzwi na pożegnanie tak



Żyd z dzielnicy Mea Sharim — centrum żydowskiej ortodoksji.

Fot. Erwin Schenkelbach

INICJATOREM pielgrzymki był Andrzej Kieres, doktor matematyki z UMCS, pozostający na czasowym kontrakcie naukowym w Libii. Nie dane mu było jednak w niej uczestniczyć, gdyż zginął wraz z córką w wypadku samochodowym. Sprawy organizacyjne przejęła po nim Agnieszka Maciejkowska, również doktor matematyki z tej samej uczelni.

Gdy petetkowska wycieczka do Izraela, ze względu na przeszkody natury formalnej, nie mogła się odbyć, grupa zwróciła się do Lubelskiej Kurii Biskupiej z prośbą o zorganizowanie pielgrzymki.

Duszpasterstwo objął ks. Edward Pohorecki, dyrektor Instytutu Kultury Chrześcijańskiej przy Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Czasu było już bardzo mało i wydawało się, że zamierzenia nie uda się w ustalonym terminie zrealizować, ale — dzięki życzliwości władz — czterdziestopięcioletnia grupa pielgrzymów z siedmioma księżmi odleciała 18 maja samolotem rumuńskich linii lotniczych (przez Budapeszt z przesiadką w Bukareszcie) do Tel-Awiwu.

Ładowanie wypadło po północy. Zobaczyliśmy urzekające morze światła rozciągającego się daleko nad wybrzeżem miasta. Wielki plan, wytoczony punkcikami i wianuszkami różnokolorowych latarń. Samolot miękko osiadł na płycie lotniska. To już Ziemia Święta.

Na dworcu lotniczym oczekiwały nas siostry elżbietanki z Nowego Domu Polskiego, a wśród nich przełożona Emerencja Pawłowaka. Przybyły autokarem, który zawiózł nas do ich, a przez jedenaście dni — i naszego domu. Troška siostr będzie nam towarzyszyła od tej chwili do końca pobytu. Siostry opracowały program pielgrzymki, one zatłwały wynajęcie autokarów na wyjazd poza Jerozolimę, one angażowały przewodników, a przede wszystkim troszczyły się o nasz codzienny byt, żywiąc tak, jak tylko polskie siostry (poznanianki!) potrafią.

Pierwsze zetknięcie z najbliższym otoczeniem Nowego Domu Polskiego nie szokuje spodziewaną egzotyką. Podziwiamy tylko południową roślinność przy jednopiętrowych domach bocznej, niezbyt ruchliwej ulicy. Trochę intrygują pojawiające się przed domami sąsiedzi. Najstarszym uczestnikom pielgrzymki przypomina się dawny, przedwojenny koloryt polskich miast, a młodsze pokolenie po raz pierwszy ma okazję zobaczyć znane z opowiadań postaci ortodoksyjnych Żydów. Mimo upału chodzą oni w czarnych garniturach, czarnych kapeluszach, a nawet w wielkich, okrągłych, futrzanych czapkach. To jakby wskrzeszenie dawnej nędzy polskiej rzeczywistości. Brak tylko tamtej żydowskiej biedoty. Wszędzie widać dostatek i zaobność.

Każdy z nas chciałby utrwalić na kliszy spotkaną postać, ale przechodnie uciekają przed obiektywem, zasłaniają się kapeluszami. Ostrzegano nas, że mogą nawet reagować ostrzej, ale do żadnego incydentu nie dochodzi.

Ksiądz Leszek Gwarek, pallotyn, doktorant jerozolimskiej Ecole Biblique, będzie nam przewodził przez pięć dni, wprowadzając w długie dzieje Ziemi Świętej i mieszkających tu ludzi. Będzie informował o skomplikowanej sytuacji dnia dzisiejszego, a przede wszystkim oprowadzał po miejscach utrwalonych na kartach Starego i Nowego Testamentu.

WMURY Starej Jerozolimy wkraczamy przez najokazalszą Bramę Damascyjską. Tędy będziemy chodzić wielokrotnie, bo najkrótsza i najprostszą to droga z Nowego Domu Polskiego do Bazyliki Zmartwychwstania i do Wieczernika.

Znakomicie zachowane mury Starej Jerozolimy, wystawione w XVI wieku przez Sulimana Wspaniałego, nie pokrywają się z murami Jerozolimy z czasów Chrystusa. Golgota i Grób znajdują się obecnie w obrębie murów starego miasta, przykryte jedną budowlą Bazyliki Zmartwychwstania. Czytaliśmy wcześniej w przewodnikach o zaniedbaniu tego najświętszego dla chrześcijan miejsca i rzeczywiście: Bazylika wywiera przygnębiające wrażenie, przypominając o rozdarciu i istniejących podziałach wśród wyznawców Chrystusa. Dla nas, ukształtowanych w duchu ekumenicznym, podziłamy te i anektowanie własnych przestrzeni przed Grobem Jezusa i w miejscu Jego ukrzyżowania, wydają się niepojęte. To tak, jakby jeszcze raz chrześcijanie rozdzierali między siebie Jego szaty. Nam, Polakom, szczególnie przykro, gdyż jesteśmy przyzwyczajeni do zadbanych, czystych, estetycznie wystrojonych kościołów i przepelnionych wiernymi sanktuariów.

Towarzyszy nam tu tylko kilka niewielkich grup. Może pielgrzymi? Może turyści? Jedni gapią się, oglądając wnętrza jak zwykły architektoniczny zabytek, inni pobożnie przyklękają przy Płycie Namaszczenia, całują ją. My zmierzamy do kaplicy Najświętszego Sakramentu, inaczej zwanej kaplicą Ukazania się Chrystusa Zmartwychwstałego, gdzie się ma odbyć pierwsza nasza w

POWOLI zapoznaliśmy się ze Starą Jerozolimą, podzieloną na dzielnice: arabską, chrześcijańską i żydowską. Każda jest inna. Koloryt staremu miastu nadają Arabowie, a przy Murze Placzu — Żydzi. Już w Bramie Damascyjskiej i na wąskich uliczkach bazarowy tłok i hałas. Polrzykiwania, zachwalanie na sposób wschodni towarów, zapach korzeni i aromatycznych ziół, wielość południowych owoców... Ale na nasze czarnodolarowe przeliczenia wszystko bardzo drogie. Oglądamy więc i podziwiamy wąskie uliczki, obserwujemy dzieci arabskie; nawet te bardzo małe pomagają starszym, czasem same cieniutkimi głoskami reklamują swoje towary.

Handlowe życie Jerozolimy trwa jednak krótko, czasem zupełnie zamiera, gdy OWP ogłasza strajk generalny. Wówczas nawet stare wieśniaczki, przynoszące na głowach płachty winogronowych liści do zawijania miejscowych gołąbków, nie handlują. Zamknięte są żaluzje i okiennice sklepów, a patrole izraelskiego wojska można spotkać na każdym skrzyżowaniu. W czasie strajku spotyka się niewielu Arabów na ulicach. Niektórzy dyskretnie zapraszają do przymkniętych sklepów.

Pielgrzym z Polski, nie wtajemniczony w miejscowe realia, nie odczuwa jednak zagrożenia. Wprawdzie patrole wojskowe chodzą z wielkimi karabinami maszynowymi na plecach, ale w postawie „na spoczni”. W naszym wojsku za tak „nieregulaminowe” pełnienie służby poszłoby się bezwzględnie do paki. A oni stoją, gawędząc z arabskimi dziećmi, czasem siedzą, a najbardziej znudzeni leżą na twardych ulicznych płytach. Tyl-

PIELGRZYMKA DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

Józef Zięba

Jerozolimie msza święta. Do grupy dołączył ksiądz Jan Sobczak, misjonarz z Zambii, nasz krajan. Na misję wyruszył z Lublina przed kilku laty. W drodze do kraju, gdzie ma obchodzić ćwierćwiecze kapłaństwa, zatrzymał się w Jerozolimie i przez kilka dni będzie nam towarzyszył, opowiadając o swej pracy misyjnej.

Po mszy ksiądz Leszek oprowadza nas po Bazylicę. Bez trudu docieramy do kaplicy św. Heleny, kaplicy Znalezienia Krzyża i na Golgotę. W zwykły dzień na Jasnej Górze trudno jest przedostać się przed obraz Matki Boskiej anizeli tu, do tych najświętszych dla całego chrześcijaństwa miejsc.

Główną część Bazyliki Zmartwychwstania zajmują obecnie prawosławni Grecy, a pozostałe kaplice i ołtarze należą do Ormian, Koptów i franciszkanów. By wykonać w Bazylicę jakakolwiek czynność remontową, muszą wyrazić zgodę wszyscy, a nie zawsze są dobrej woli. Wszyscy jednak troszczą się o płonące ciągle przed Grobem Chrystusa i na Kalwarji oliwne lampy. Ten nikły oliwny płomyk przyjmujemy jako światło nadziei.

Franciszkańskimi lampami zajmuje się brat, Polak, pochodzący z Rzeszowskiego. Spotykamy go kilkakrotnie wieczorem przy uzupełnianiu oliwy i czyszczeniu lamp. Opowiada o panujących tu zwyczajach. Każda wspólnota w czasie swych uroczystości anektuje przestrzeń przed Grobem przez postawienie świecy. Inni nie mają wówczas prawa przez tę przestrzeń przechodzić. Dziwny ten zwyczaj ustalony został przed laty.

Podobnie dziwne, a nawet trochę groteskowe jest zamykanie Bazyliki. Oczekiwaliśmy na ten moment po nawiedzeniu Grobu i Kalwarji. O godzinie 20.30 zaczyna się wypraszanie najczęściej nielicznych już turystów i wiernych. Trzykrotnie uderzenie o drzwi przypomina o czasie zamknięcia. Pojawiają się przedstawiciele wszystkich wspólnot, policjanci pełniący na placu służbę oraz dozór muzułmański, czyli przedstawiciele arabskiej rodziny, która od kilku wieków posiada klucze do Bazyliki i z tego się utrzymuje. Wszyscy wyraźnie znudzeni spoglądają na zegarki, a policjant skraca sobie czas grą w piłkę z arabskimi dziećmi. Właściciel klucza zapala papierosa. Na kilka minut przed zamknięciem wynosi z wnętrza Bazyliki drabinkę. Punktualnie o godzinie 21 mnisi energicznie zatrzaskują bramę. Właściciel kluczy wchodzi po drabince i zamyka umieszczoną wysoko zasuwę i zamki. Po zejściu podaje drabinkę przez niewielkie, specjalnie do tego celu wycięte w bramie drzwiczki do wnętrza. Drabinkę odbierają mnisi, którzy mają w środku wejścia do swoich klasztorów. Rano o godzinie czwartej odbywa się podobna celebra. To także utrwalona przez wieki tradycja. Stanu tego nikt nie śmie naruszyć, gdyż obowiązuje tu jeszcze dekret sultanańskiego z 1757 roku, według którego niezgodnie nie można zmienić — ani w stanie posiadania, ani w sprawowaniu kultu.

ko ich dowódcy, zaopatrzeni w krótkofalówki, utrzymują ciągłą łączność z centralą dowodzenia. Do późna chodzimy bez paszportów i bez żadnych innych dokumentów. Nikt nas nie legitymuje. Jedyne w bramie przed Murem Placzu posterunek sprawdza, czy nie niesie się w torebce jakiejś bomby. Odbywa się to uprzejmie, delikatnie. Po wykonaniu swojej czynności żołnierz powraca do półgłosem śpiewanej modlitwy.

Po obiedzie pierwszego dnia i po krótkim wypoczynku wybieramy się z księdzem Leszkiem do kościoła św. Anny. Jest to najlepiej zachowana budowla z czasów krzyżowców. Kościół ten upamiętnia narodziny Najświętszej Marii Panny. Do niedawna znajdowała się tu pamiątkowa tablica z napisem: „W zbrojnym pochodzie do Polski przez Ziemię Świętą uczniowie szkół podchorążych — centrum wyszkolenia Armii Polskiej na Wschodzie oddając hołd Niepokalanej w miejscu Jej narodzenia — polecają się Jej opiece na zawsze szczególnie na okres walki o wolność ojczyzny i powrotu do swych rodzin. Jerozolima 20 I 1944”. Tablicy tej już nie ma. Podobno znikła w czasie przeprowadzanej tu remontu.

Obok kościoła św. Anny wykopaliska wydobły sadzawkę Owczą i ruiny sanktuarium Paraklityka, upamiętniające cud Chrystusa.

TEGO samego dnia odwiedzamy kaplice Biczowania i Skazania, wzniesione na miejscu dawnej twierdzy Antonia, w której Piłat skazał na śmierć Chrystusa. Odczytany fragment z Ewangelii św. Jana i pasyjna pieśń, odśpiewana wspólnie, utrwalają przeżycia tego miejsca.

Poprzez przyległą wąską uliczkę przerzucony jest fragment triumfalnego łuku, nazwany „Ecce Homo” ze względu na wmurowane weń dwa kamienie, na których według tradycji mieli stać Jezus i Piłat w momencie wypowiedzania słów: „Oto Człowiek”. Od tego miejsca rozpoczyna się Droga Krzyżowa, w której mamy uczestniczyć za tydzień, gdyż na jutrzejszy piątek zaplanowany jest wyjazd — przez Betanię — na Pustynię Judzką, do Qumran, na Masadę i nad Morze Martwe.

Msza św. w Betanii, przywołane słowa z Ewangelii o wskrzeszeniu Łazarza, o Marii i Marcie, jego siostrach, ukonkretniają odwiedzone miejsca. Po wyjściu poza obręb sanktuarium spotykamy siedzących w cieniu na murku kilku izraelskich żołnierzy. Jeden z nich mówi po rosyjsku. Pochodzi z Wilna. Obok nich waleśają się opuszczone arabskie dzieci, żebrzą. Kilka zdjęć z izraelskimi żołnierzami i odjazd przez Pustynię Judzką do Qumran.

Pustynia Judzka z pasmem niewysokich wzgórz jest już spalona słońcem, płoża. Czasem mijamy namioty beduinów i ożywiającej pustynną monotonię, zielone laski daktylowych palm. Plantacje ich pojawiały się niedawno i są własnością powstających tu kibuców (izraelskich spółdzielni produkcyjnych), które rekultywują pustynię przez nawadnianie, a następnie zakładają plantację tropikalnych roślin.

(Koniec odc. 1. — cdn.)

KILKA UWAG W SPRAWIE LEWICY

Dokończenie ze str. 1

Trzeba przy tym zauważyć, że skoro pytania takie są w ogóle stawiane, znaczy to, że samo pojęcie „lewicowości” nie utraciło znaczenia, że dalej jest ono w jakiś sposób istotne dla politycznej topografii. Po drugie: sposób rozstrzygnięcia o własnej tożsamości grup politycznych, określających się jako „lewicowe”, jest w naszych warunkach geopolitycznych ważny dla przyszłości społeczeństwa i kraju. Są przecież i tacy, którzy sądzą, że węzły — także te utworzone z ideologicznych czy intelektualnych sprzeczności — najlepiej przecina się mieczem i tak przerywa się ich dokuczliwą obecność. Znaleźliby się zawsze chętni do zastosowania takiego środka, by odzyskać utracone, a dziś frustrujące labilnością, punkty oparcia.

Niewątpliwie kryzys tożsamości lewicy, trudności towarzyszące próbom jej samookreślenia się w zaistniałej sytuacji dowiodły, iż w gruncie rzeczy przez kilka dziesiątków lat posługiwała się ona raczej autostereotypami i pojęciami zbitkami, dowodząc, jak żywa, analityczna metoda opisu rzeczywistości — jaką niewątpliwie jest marksizm — przeistoczyć się może w „close meaning”. Niewiele się zmieniło: własną sytuację lewica stara się opisać poprzez rewizję dawnych stereotypów i wytworzenie w ich miejsce nowych. Stara się również usunąć zaistniały dysonans poznawczy poprzez zawieranie kompromisu z własnym dawnym „ja”, dostosowując starą aparaturę pojęciową do nowego położenia. Dokładniejsze przyjrzenie się owym zabiegom bezlitośnie odsłania ich nieskuteczność.

Sądzę zatem, że jedyną drogą wydobycia się z kryzysu tożsamości lewicy jest porzucenie własnych wyobrażeń na swój temat — tego balastu dogmatycznego, który obciąża nawet ludzi głośno protestujących przeciw wszelkim dogmatom.

BARDZO długo „lewicowość” kojarzona z partyjnością. Takie podejście było charakterystyczne zarówno dla członków partii, jak też opinii potocznej. Mało kto wyobrażał sobie, że można być „lewicowcem” — nie będąc w partii. Co prawda funkcjonowało określenie „bezpartyjny komunist”, ale raczej na prawach epitetu. O tym, by dostrzegać „lewicowość” kogoś, kto związany jest np. z Kościołem — w ogóle nie mogło być mowy. Było to uproszczenie całej sprawy — jak każde uproszczenie: niezwykle wygodne. „Wymyślanie” formuły określającej „lewicowość” miały się zajmować bliżej nie określone siły czy struktury owego zbiorowego Rozumu, jakim mianowała się partia. Jej człowieka czyniła „lewicowcem” — i tyle.

Absurdalność takiego podejścia zrozumieliśmy dopiero niedawno. Odkład z większą ostrożnością rozdzaje się etykiety „rewizjonizmu” i odkład wszelki „rewizjonizm” przestano kojarzyć automatycznie z antylewicowością (czyli: z prawicą) — znacznie łatwiej dostrzec lewicowe inspirowanie nawet tam, gdzie mamy do czynienia z niewątpliwymi nastawieniami antypartyjnymi. Nikt, kto rozsądny, nie będzie dziś przyznawał sobie do lewicowości, socjalistycznych korzeniach głównego nurtu protestu robotniczego z 1980 roku, przekształconego następnie w ruch „Solidarności”. Nikt również nie może twierdzić, iż składniki szeroko pojmowanej — tzn. niedogmatycznej w sensie marksistowsko-leninowskim — lewicowości nie przejawiają się w nauce społecznej Kościoła rzymskokatolickiego, a także innych — zwłaszcza dalekowschodnich — kościołów. Oznacza to, że stosunek do spraw wiary nie jest zasadniczym czynnikiem określającym tożsamość „lewicy” wobec tożsamości innych stron politycznej mapy.

Jesteśmy autorami, aktorami i świadkami dość skomplikowanego (i brzemiennego tak w polityczne, jak w etyczne skutki) paradoksu: myślę o kierunku przeobrażeń gospodarczych i społecznych, których zwolennikiem jest dziś partyjne centrum. O reformach polegających na zasadach wolnego rynku. O ograniczaniu „nadopiekunczości” państwa. O rozmaitych odmianach „prywatyzacji” i przywróceniu rangi pojęciu „własności”. Słowem o tym wszystkim, co do tej pory kojarzone z modelem kapitalistycznym — zatem: prawicowym.

„Lewicowi” reformatorzy sięgają mniej chętnie do „Kapitału” (choć dzieła tego nigdy do końca i nigdy właściwie nie wykorzystywano w krajach realnego socjalizmu), zerkając w stronę Friedmanów, Keynesów i von Misesów. Podobne zainteresowania żywe są po stronie opozycji — choć wyraźniej przywiązana jest ona do haseł demokratycznych, a nie liberalnych. Tymczasem tradycyjnie pojmowana, partyjna „lewica” nie wyklucza tezy, że pewne praktyki demokratyczne — np. ciągłe konsultowanie decyzji w sferach ekonomicznych — mogą utrudniać kierowanie nowoczesną gospodarką. Oczywiście: jest pytaniem dość istotnym, że zasada ograniczenia demokracji wiąże się tu z wymogami stawianymi przez doktrynę liberalną, czy też jest zwykłą próbą zachowania status quo i dawnej pozycji ideologii wobec praktyki politycznej w obszarze ekonomicznym. „Tradycyjna lewica” mówi o oddaniu części władzy — choć jeszcze kilka lat temu zarzucała podziemnej wówczas opozycji, że chce tę władzę przejąć. Jawną, parlamentarną już opozycją władzy wzięć nie chce — aby zachować status opozycji właśnie (w każdym normalnym systemie parlamentarnym gra między partiami jest jednak grą o władzę...).

Wszystkie te paradoksy przypominają o pytaniu: kim naprawdę jesteśmy? Jakie są nasze korzenie? Na czym możemy się oprzeć? Czy, idąc w nieznanym jeszcze kierunku, nie zdradzamy siebie samych, własnej przeszłości, własnych haseł?

SZTANDAR lewicy był niegdyś pokryty hasłami o rewolucji światowej: w imię tych haseł uszczęśliwiano na siłę całe obszary globu i poszczególne narody, co często przynosiło im tylko jeszcze większą nędzę i bratobójcze wojny. Na sztandarze tym były hasła równości — dziś wiemy, że równość gwarantowana aktami prawnymi, a wywołana przez rewolucyjny zryw, staje się po jakimś czasie własną parodią, że znacznie ważniejsza jest sprawiedliwa nierówność: całych grup, nie mówiąc już o jednostkach. Wołaliśmy o pokój — zbrojąc się i instalując nawet tam, gdzie ich nie chciano, nasze rewolucje. Byłoby kłamstwem twierdzenie, że demokracje nazywane przez nas „burżuazyjne” nie zrobiły nic dla światowego pokoju. Wołaliśmy też o godny, pełny rozwój jednostek, twierdząc, że w naszej ideologii ucieleśniamy najwyższe humanistyczne wartości. Tymczasem odstawiając się kolejne warstwy ziemi i dokumentów w archiwach, stając się coraz straszniejszym oskarżeniem praktyki opartej o tę ideologię, a prowadzącej do kłamstwa, poniżenia, terroru i zwykłych mordów. A przecież jest to ideologia wolności, równości i braterstwa — jakkolwiek by na to patrzeć.

Naturalnie — można sprowadzić wszystko, jak to robiono już wielokrotnie, do konfliktu między teorią a praktyką i oskarżać zbyt niską świadomość ludzką. Można twierdzić, że całe zło tkwi w „technologii rządzenia”. Niestety — jest to dość naiwne pocieszenie. Sytuacja, w jakiej jesteśmy, wymaga określenia na nowo, co jest osią teoretycznej konstrukcji. Wymaga przemyslenia, co reprezentuje dziś naprawdę proletariat, jakie są spoiwa „klasy”, jak definiować trzeba „pracę”, „własność” itd.

Jedno jest pewne: sytuacja, w jakiej znajdujemy się dzisiaj, jest niepowtarzalna. Jest — wbrew temu, co można by o tym sądzić — szansą lewicy, a nie jej grobem. Niebezpieczeństwem jest natomiast to, że zdarzenia postępują szybciej niż ich intelektualne opowiadanie. Wymykają się one jakby spod kontroli, żyją własnym życiem. Efekty społeczne i polityczne takich procesów mogą okazać się zabójcze.

Czy lewica jest dziś zdolna do intelektualnego przede wszystkim przebudzenia? Czy mentalność aparatczykowska, czy ugruntowane przez lata sprawowania władzy przekonanie, że nic nie grozi doktrynie, jeśli tylko ma się co dzielić wśród społeczeństwa i odpowiednio formacje zdolne zapewnić spokój, nie sparaliżowały ostatecznie szansy zobaczenia świata w całym jego współczesnym powikłaniu?

Myślę, że właśnie w tym aspekcie, w sposobie interpretowania świata, należy szukać ewentualnych osi krystalizacji nowej tożsamości lewicy. Z jej tradycji usunięto lub stepiono ostrze krytycyzmu i racjonalizmu: to, co niegdyś ludziom przyznającym się do „lewicowości” umożliwiała oddzielanie mitów od faktów, fałszywej świadomości — od świadomości prawdziwej. Mitologie pozwalały trwać narodom, grupom, jednostkom. Chyba nigdy nie popęchały niczego naprzód. Mit i dogmat przywołują sacrum, czas święty. Nigdy — realny.

Tymczasem „lewicy”, która poszukuje własnej tożsamości, grozi kolejny mit. Mit głoszący, iż jej nowa formuła może być „zlepkiem” najróżniejszych idei: od komunistycznego hasła równości i sprawiedliwości społecznej — po doktrynę wywiedzioną z ekonomicznego liberalizmu. Od oświeceniowego racjonalizmu — po Teologię Wyzwolenia. Wielu jest — choćby w partii — zwolenników jej przeobrażeń w kierunku socjaldemokratycznym. Zgoda! Ale trudno się zgodzić z tezą, iż przeobrażenia te powinny korzystać z już istniejących wzorców, np. socjaldemokracji zachodniemieckiej. Jeśli zakładamy w ogóle konieczność „wzorowania się” na czymś, to ulegamy kolejnemu mitowi. Formowanie się partii socjaldemokratycznych i socjalistycznych na Zachodzie było długim, nie pozabawionym meandrów i tragicznych pomyłek procesem. Wszystko, czego one doświadczyły, jedynie w bardzo ograniczonym zakresie może być naszą własnością. Zmagając się one z własnymi problemami, z własną rzeczywistością. Błądzą, źle oceniają swoje szanse — czego dowodem są choćby losy tzw. eurokomunizmu.

„Naturalne środowisko” owych partii jest także inne: inaczej funkcjonuje gospodarka tamtych krajów, system polityczny, a zwłaszcza — co ogromnie ważne: inne są społeczne i kulturowe warunki określające bazę tamtych partii! Czy w Polsce istnieje społeczna baza dla socjaldemokracji — nowoczesnej, otwartej, nie zagrożonej sektarianstwem?

Mniemam o „ratowaniu lewicy” — zbyt często myślimy o ratowaniu takich czy innych struktur partyjnych. Odwrotnie: sądząc, że reforma (lub całkowita likwidacja) struktur partyjnych i powołanie nowych uratuje lewicę, w gruncie rzeczy przyspieszamy jej fiasko.

NIE WĄDŁAJĄ mnie obawą wszelkie przeobrażenia instytucjonalne, zwłaszcza prowadzone w gorączkowym pośpiechu. Znacznie bardziej wierzę w efekty przeobrażeń ludzkich postaw. W końcu partia powinna być wyrażicielką jakiejś idei; nie można donosić-owycwać idei do partii. Czy miałyby jakiegokolwiek znaczenie powołanie np. partii socjaldemokratycznej, gdyby do stylu jej myślenia i pracy przedostały się najgorzej nawyki wyniesione z PZPR — mentalność aparatczykowska, dogmatyzm, wszechobecny serwilizm?

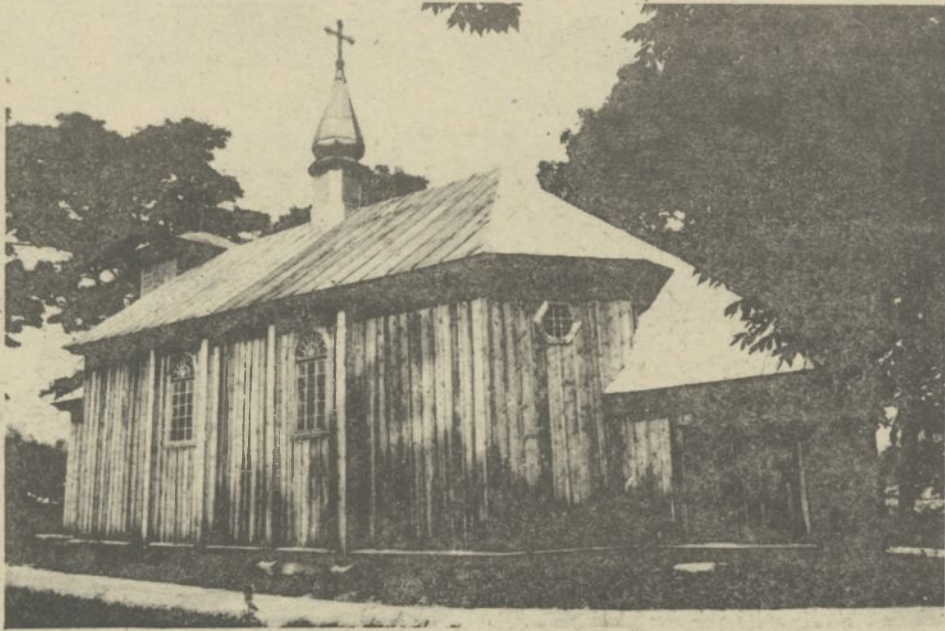
„Lewicowość” wiąże się, moim zdaniem, z postawą intelektualną, etyczną. Po latach lekceważenia wymiaru jednostkowego w myśleniu i świecie, po latach gloryfikacji wymiarów „klasowych” i „zbiorowych” — należy dla lewicowości odkryć znów prawdy o zależnościach między mikrokosmosem człowieka i makrokosmosem społeczeństwa. Aczkolwiek punktem dojścia powinien być tu zawsze wymiar ponadjednostkowy, to płaszczyzną weryfikacji musi być człowiek. Jego prawa i jego obowiązki.

Jest też „lewicowość” uruchomieniem krytycznego rozumu i skierowaniem go przeciw wszystkiemu, co utrudnia zrozumienie świata i człowieka. Zdaję sobie sprawę, że takie określenie jest zbyt płynne i nieostre. Że to za mało na zarysowanie „tożsamości” lewicy. Ale myślę tu tylko o punkcie wyjścia — w tym, w którym przełamane zostaje prawo ciężenia ku zuiytej już aparaturze stereotypów i dogmatów.

Tym samym odrzucanie tradycji owych dogmatów nie musi wcale wiązać się z gestami bezradności, ale z otwarciem na czas, który dopiero nadejdzie, bezlitośnie weryfikując nasze dzisiejsze złudzenia i nasze, tymczasowe, intelektualne konstrukcje.

Zbigniew Bauer

Autor jest sekretarzem redakcji krakowskiego „Zdania” i działaczem krakowskiej „Kuźnicy”. Był naczelnym redaktorem organu reporterów — białostockich „Kontrastów”.



Cerkiew unicka w Kostomłotach.

JEDZIE się dobrze, słońce, żadnego ruchu na trasie. Po kilkuset kilometrach uświadamiam sobie, że gdzieś po prawej stronie, bliżej Bugu, powinien być Kostomłoty, z jedyną w kraju parafią obrządku bizantyjsko-słowiańskiego. Nie wiemy, co to za wyznanie, ale wyraz „bizantyjski” brzmi dostatecznie dźwięcznie, by skreślić w polną drogę. Po kilku kilometrach trafiamy bezbłędnie. Na ścianie plebanii duże, białe litery: „Serdecznie witamy”. Robi się cieplej. W głębi drewniana, odnowiona świątynia, na niej drugi napis: „Sanktuarium Unitów Podlaskich”. Jesteśmy w domu.

Wyzwoniony z plebanii chłopak o płomiennych włosach bierze klucz i z uśmiechem prowadzi do cerkwi. Oповіда, pokazuje, częstuje chlebem, który podczas mszy przeistacza się w komunię. Podziwiamy najstarszą, XVII-wieczną ikonę św. Nikity, święto nałożone malowidło sufitowe. Cerkiew pochodzi z XVII wieku, przebudowano ją w roku 1852.

— A może by panowie wstąpili na herbatę — zaprasza płomiennowłosy.

— Jeżeli wstąpimy, to przyjdzie nam prosić o nocleg.

— Nie ma sprawy. Ojciec Roman chętnie się zgodzi. Za cerkwią są domki kempingowe.

Herbata dobra, perspektywa odpoczynku rozleniwa. Chłopak nazywa się Wiesław Trzpis i jest wyjątkowo miły.

— Po wojnie zostały się trzy parafie bizantyjsko-słowiańskie: w Kodniu, Janowie Podlaskim i tutaj. Została ta jedna, głównie dzięki oporowi ojca Romana — opowiada chłopak. — Jest to stara parafia, pamiętająca siedemnaste stulecie, reaktywowana w 1927 roku.

— Przecież grekokatolickich parafii sporo w kraju.

— Tak, ale obrządku ukraińskiego. To jest jedyna.

Wchodzi ojciec Roman Piętka, witamy się, po czym proszę o nocleg. Wyciąga do mnie klucz, jakby już wcześniej przygotowany.

— Wiesiu, pomożesz siano grabić, idzie burza.

Deklarujemy pomoc. Zaprowadziwszy rowery, bierzemy się do grabi. Po kolacji bez herbaty (nie wiemy, czy prosba o wrzątek nie będzie przekroczeniem granicy między grzecznością a

Fragment mizaru w Lebedzie-
wie.

natręctwem) popatrujemy, jak w strugach deszczu lokuje się w sąsiednich domkach grupa pieszych. Przyjemnie leżeć, będąc sytym, i słuchać walenia grubych kropel w dach, pół metra nad głową. Głośno myślę nad mentalnością Rosjan; Jabłeczna nie daje mi spokoju.

— Są nadmiernie emocjonalni. O ile ich literatura, film, obserwacje postronnych oddają obiektywną rzeczywistość. I o ile można sądzić na podstawie przypadkowych kontaktów. Emocje zaciera ją hierarchię wartości. Ktoś zabił, pracując w tajnej policji, katował ludzi, był strażnikiem w łagrze. Starają się dobrodusznie go zrozumieć, przebaczyć i zapomnieć. Czy nie jest to w istocie pozorna głębia, pozorne człowieczeń-

Marek słucha uważnie.

— Komunizm jakby zatrzymał się na poziomie feudalnych stosunków społecznych — ciągnę dalej. — Rosyjska cerkiew prawosławna wynika z tej mentalności i jednocześnie w jakiejś mierze utrwała ją. To są procesy nieostre, powiązania wzajemnie się uzupełniające, granice płynne. Tak naprawdę nigdy nie wiadomo, co gdzie się kończy, a gdzie zaczyna już drugie, i co za sobą pociąga, co popycha...

— Przez dwa dni o tym myślałem — mówi Marek z ulgą. Czuje, że już jest sobą.

— Oczywiście jest to uogólnienie, i jak każde w pewnym stopniu jest uproszczeniem. Naprawdę wszystko zależy od każdego z osobna.

DZIEŃ VII

Niedziela. Mocne słońce po nocnym deszczu. Chce się wyjechać jak najwcześniej, ale mamy zaproszenie na mszę. Ojciec Roman odprawia w trzech językach: do właściwego liturgii dodaje polski (ze względu na nas?) i francuski. Kazania na prośbę mieszkańców wsi wygłasza zawsze po polsku. Po wojnie, w latach 1945–46, kiedy królowała-u nas przeszczepiona moda na przesiedlenia ludności, miejscowi, pytani o narodowość, odpowiadali podobnie jak Warmiacy i Mazurzy: my tujejsi. Nie uchroniło ich to jednak od wywózki. Wsie zdewastowano, a ziemią przypadła PGR-om, które miały podnosić kulturę rolną we wschodnim, przygranicznym pasie. Po latach, zrazu nieśmiało, potem gęściej wracali spod Szczecina i Piły na ojcowiznę, przejmując, a nawet wykupując swoje własne gospodarstwa.

Stoimy w przedśionku. Nabożeństwo prawie identyczne jak w cerkwi prawosławnej, a mimo to, czuję się tu u

— A to do puszeki. Powiedźcie znajomym i przyjaciółom o nas, niech przyjeżdżają. Zapraszamy.

Zegnając się z panem Wiesławem, wymieniamy adresy: ma znajomego, który odlewa w mosiadzu znakomite repliki średniowiecznych, prawosławnych krzyży, w sam raz dla mnie. Usiłuję mu wytłumaczyć różnice w emocjonalnym odbiorze — między nabożeństwem prawosławnym a unickim. Na co on równie szczerze wyznaje, iż często modli się w swoim mieście nie tylko w kościele, ale także i w cerkwi. Nie przeszkadza to księżom obu wyznań, zaś jego samego wzbogaca. Wygląda na to, że i w sferze religii pieczołowicie kultywowane aż po XX wiek średniowiecze ma się wreszcie ku końcowi. Nasz znajomy kończy rozmowę, uśmiechając się:

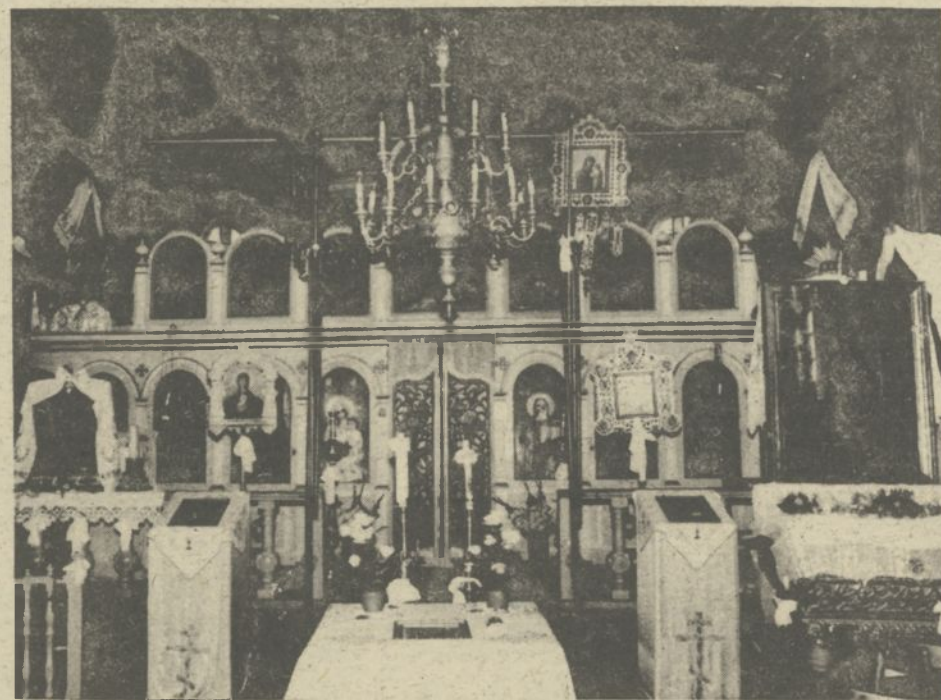
— Mają szczęście (to o tych z Jabłecznej). Gdyby w XIX wieku nie przekopali koryta Bugu, byłoby dziś po tamtej stronie!

Utrzymaliśmy precyzyjne zamiary na mizar, czyli cmentarz tatarski w Lebedzie-
wie. Mimo licznych skrzyżowań jeździemy pewnie, orientując się to na Bug, to na opuszczony cmentarz prawosławny. Etap płaski, lekki wiatr, słońce, pedałujemy niespiesznie, pogadując:

— Wiesz co mnie drażniło w Jabłecznej? — słyszę od Marka. — Zewnętrzność obrzędowa, hołdowanie formie, która wcale nie wyzwalała głębiej, uniwersalnej więzi międzyludzkiej. Miała ona natomiast znaczenie czysto sytuacyjne: jakby wyzwalała więź chroniącą interes grupy. Obrządek unicki był o wiele łagodniejszy. Prawosławie interesuje lud. Kościół rzymskokatolicki zwraca się ku człowiekowi jako jednostce odpowiedzialnej.

Z BIEGIEM BUGU

Adam W. Kulik



Wnętrze cerkwi w Kostomłotach z ikonostasem i carskimi wrotami.

stwo? Czy ta uległość nie wynika z nieustającej podległości, z zastraszenia? Zbrodnia, działanie przeciw człowiekowi w imię kogokolwiek i czegokolwiek, choćby największej, najpiękniejszej idei, jest zawsze czynem wymagającym napiętnowania i potępienia. Zrobił to król, minister czy biskup — fakt jest faktem. Starać się zrozumieć — to znaczy w tej sytuacji zacierać granicę między dobrem a złem. Cóż to zresztą za idea, jeżeli forsuje sobie drogę przeciw człowiekowi? Ile jest warta? U nas te rozróżnienia są ostrzejsze, bardziej zasadnicze niż tam. Taka mentalność mogła mieć wpływ (trudno mierzyć, jak duży) na powstanie czegoś, co istnieje dziś w komunizmie czy realnym socjalizmie — wszystko jedno, jak to nazwiemy: pogardzanie człowiekiem, nie liczenie się z nim. Właściwie pojęcie człowieka jako człowieka tam nie istnieje... „Pracuję w materiale ludzkim” — tak mówi kacyk.

siebie, nie jestem obcy. Niewątpliwie pomaga autosugestia, ale czy tylko? Słońce, filtrowane przez kolorowe szyby okien, wyprawia dziwne harce wokół ikony św. Nikity, w pewnej chwili mam złudzenie, jakby obraz się unosił. Marek poświęca cały film na utrwalenie obrzędu, w którym uczestniczą także młodzi ludzie z obozu wędrownego, ubrani w popularne, wojskowe drelichy. Ktoś prowadzi do pierwszego rzędu Francuzów, wyraźnie uradowany ojciec Roman prosi jednego z gości o wygłoszenie paru słów, tłumacząc od ręki. Prócz paru frazesów i okolicznościowych grzeczności — jak można się było domyślać — Francuz niczego nie powiedział.

Zatrzymujemy się przy głównych drzwiach, czekając na proboszcza. Wypada zgrzany.

— Chcieliśmy podziękować księdzu i pożegnać się. Nie wiemy... — wyciągamy niepewnie pieniądze.

— Znowu uogólnienie. Ciekawe, jak to wygląda z ich strony — ciągnę interesujący wątek.

— I dlatego denerwowało mnie, jak lażesz w to, nie starając się nawet przymierzyć z dystansu — ucina Marek.

Rozmowa schodzi na ploteczki — obgadujemy dokładnie paru wspólnych znajomych i ładujemy w genealogii. I cóż się okazuje: artysta malarz Marek Terlecki ma znakomite parantele. Po wyliczeniu przodków okazuje się, że jest w prostej linii prawnukiem siostry Juliana Fałala! Ciesząc się jego szczęściem, nie próbuję nawet wyciągać swoich antenatów. Marek zdaje się to rozumieć i dodaje mi otuchy:

— Ty tak sobie wiesz między hrabią a ciotą.

Hrabstwo z łatwością daje się wytłumaczyć dziewiętnastowiecznym, pałacowym lustrem, które wisi w największym pokoju mojego M-5, oraz fotelami wykładanymi macią perłową z dworu pod Krakowem. Ale ciota? Ani chybi to odwet za dwutorowość moich upodobań malarskich: obok obrazów mojego rozmówcy wiszą pejzaże chińskie na jedwabiu, także sceny rodzajowe i rysunki kwiatów, że o rzeźbach z jadeitu i kamienia mydlanego nie wspomnę. Czego się nie znosi dla przyjaźni...

W przewodnikach turystycznych z mizarem jest różnie: w jednym nie ma go wcale, w drugim istniał do niedawna. Najbardziej rzetelna okazuje się mapa zabytków z 1971 roku. Leży za wsią, przy niewielkim skupisku domów o nazwie Zastawek, dawniej noszącym nazwę Ulanowszczyzna (od osiedlonego tutaj tatarskiego rodu Ulanów). Aleksander Ulan był dowódcą tatarskiego pułku wojsk koronnych za czasów saskich, sława jego i jednostki, którą dowodził, była tak wielka, że po jego śmierci pułk nadal zwano ulanowym. W czasach napoleońskich nazwa przenosi się na całą polską jazdę lekka.

Obszerny kopcik mizaru porasta dębina. Krzewy i chaszczki wycięte — ślad mądrych starych. Otacza go ziemny wał i rów. Nagrobki położone wyżej mają napisy od strony zachodniej, niżej, rozlokowane w południowo-wschodniej części — skierowane na wschód. W ślad za napisami ktoś rekonstruował

mogily w zachodnią stronę, co jest przedobrzeniem zapędów „konserwatorskich”. Tatarzy duży kamień stawiali w głowie, ale nieboszczyk nogami zawsze skierowany był na wschód, w stronę Mekki. Natomiast napis na nagrobku, jeżeli już był, wykuwano odwrotnie — po zachodniej stronie, na zewnątrz mogiły. Na dobrze zachowanym mizarze w Kruszynianach, jeszcze czynnym, można prześledzić to dokładnie, chociaż zdarzają się nagrobki na polską modłę, z napisem od strony mogiły.

Lebiedziew był drugim co do wielkości osiedlem tatarskim na Podlasiu. W XIX wieku, jak podaje folderek S. Jadcza „Śladami Tatarów na Podlasiu”, mieszkało w nim dziewięć rodów mahometańskich (w pobliżu Studziance 20 rodów) na czterdzieści osiedlonych w tym regionie: Abrahamowiczowie, Baranowscy, Buczaczy, Juszyńscy, Miłkowsky, Bohdanowicze, Assanowicze, Szulewicze i Ulanowie. Nagrobki uzupełniają tę listę: Napis cyrylicą: „MATWIEJ IWANOWICZ ILIASIEWICZ POŁKOWNIK 12 WIELIKOŁUCKAGO POŁKA SKONCZ 25 IJULIA 1900 NA 79 G. ŻIZNI DOROGOMU MUZU I OTCU”; narzutowy głaz dźwiga pięć wersów, dwa pierwsze w języku arabskim, trzeci wers: „ROKU 1704”, czwarty z trudem daje się odczytać: „M KORYCKI”, piąty nieczytelny; z granitowego obelisku o kształcie fallicznym (forma najprawdopodobniej przypadkowa), obok daty „R 1796”, udaje się tylko odczytać: „KOCHANAY Z” oraz „NAYMILSZY”. Jak każda nacja Tatarzy lubili wypisywać własne lub rodzinne zasługi: „IOANNA Z BARANOWSKICH KORYCKA PUŁKOWNIKOWA WOYSK P. ZMD 2 PA 1828 R.”, lub „FELICYA Z KORYCKICH BUCZACKA MARSZAŁKOWA P. BIALSKIEGO ZMARŁA D. 7 CZER 1823”. Zdarzają się małe obeliski (50—60 cm), zawierające tylko datę: „1905 G. 25 IJULIA” — napis w języku rosyjskim. W większości narzutowe głazy nie mają żadnego napisu, z rzadka w alfabecie arabskim.

W najbliższej zagrodzie usiłujemy dowiedzieć się czegoś więcej. Pani Irena Maciejczak informuje, że w Lebiedziewie Tatarów już nie ma i nikt nie pamięta, gdzie stał meczet. Teściowa naszej rozmówczyni pamięta, jak w czasie wojny Niemcy wywozili z mizaru pomniki z białego marmuru, podobno jeden z nich (z aniołkiem) stoi do dziś na cmentarzu w Kodniu. Niemcy zabierali także granitowe głazy na budowę drogi w stronę Małaszewicz — dwukilometrowy jej odcinek między mizarem a CPN-em jest wybrukowany rozbitymi na kawałki pomnikami Tatarów. Pytamy — czy i dzisiaj nie dokonuje się podobnej dewastacji. Pani Irena przeczy:

— Jeden z miejscowych stawił przed wojną drewniany dom. Na rogach kładło się cztery duże kamienie, dopiero na nich zrab. Gospodarzowi brakowało jednej podpory, wziął z mizaru. Dom stanął, ale chłop nie mógł spać — drzwi się otwierały. Odczytniał uroki, księdza sprowadził. Nie pomagało. Ktoś poradził, żeby odniósł kamień, co uczynił i... drzwi przestały się otwierać.

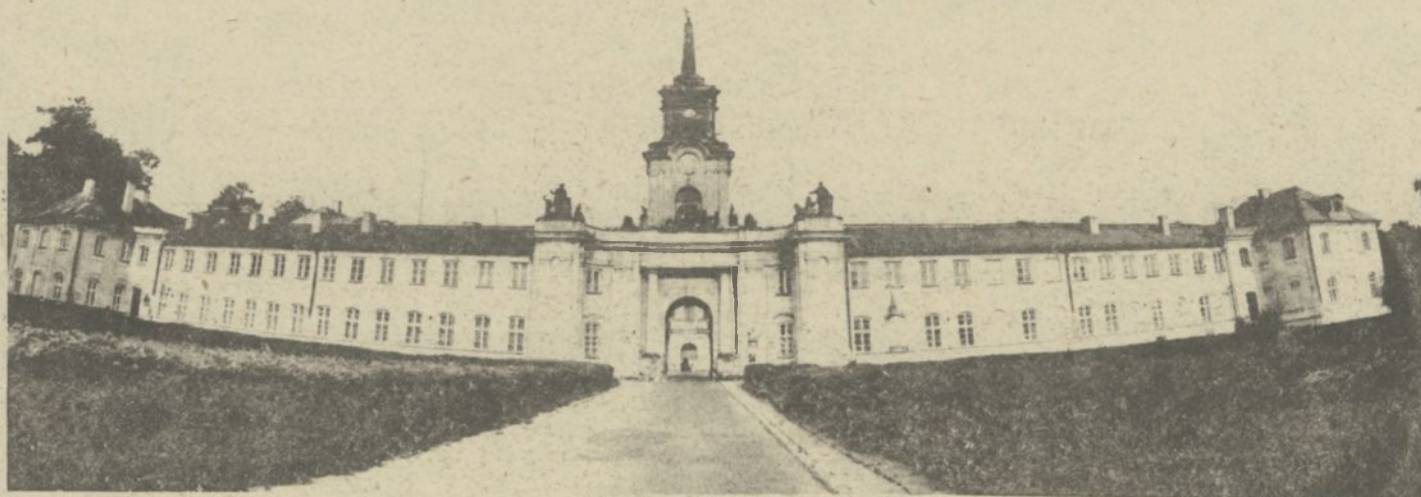
Dowiadujemy się również, że rokrocznie od dwóch lat przyjeżdża z Warszawy pewien nauczyciel ze swoją klasą, przez dwa tygodnie wycinają krzewy na mizarze, oczyszczają go ze śmieci, stawiają na swoich miejscach przewrócone obeliski. Pozostało jeszcze wykonanie ogrodzenia.

Sledzimy ze trzy godziny wśród kamieni i dębiny, jedynej prócz zapisanych słów pozostałości po niezwykle barwnej społeczności na Podlasiu (do mizaru w Studziance nie pojedziemy, leży zbyt daleko od naszej trasy). Niektóre cechy temperamentu Tatarów i polskiej szlachty doskonale pokrywały się, poczynając od brawurowych, konnych szarż, a na nie stronienu od kielicha i awantur, obmyślanych nieraz z iście wschodnią przebiegłością, kończąc. Ilustracją niech będzie przygoda, jaka przydarzyła się generałowi Józefowi Bielakowi w roku 1774:

Zaprosił Tatar Tatarzyna na wesele (w Studziance) — można by zacząć jak w przypowieści — z zamiarem wyprawienia na lepszy świat. Zapraszający, rotmistrz Gazej Korycki, cierpliwie znosił przez dni kilka, jak wróg bałwił się, objadał i opijał na jego koszt. Gdy uznał, że czara się przepelniała, wszczął pod byle pretekstem burdę rycząc: „Rabajcie jego, ja odpowiem!” Generał Bielak ledwie uszedł z życiem.

(Koniec odc. 5. — edn.)

Fotografował:
Waldemar Stępień



SMUTEK PAŁACU

Maciej Podgórski



PAŁAC radziwiłłski przedstawia się dziś całkiem porządnie — szczególnie na fotografii, a już z pewnością całkiem porządnie został sfotografowany w poziomie i pionie przez Waldemara Stępień.

„Zamek, na którym drugie piętro puste, słomą posyty; wokoło murem, basztami dwoma gontami nakrytymi, a dwiema pustymi obwiedziony”. Nie, to oczywiście jeszcze nie dotyczy pałacu radziwiłłskiego, jeno jego poprzednika, rezydencji obronnej typu palazzo in fortezza, która istniała tutaj do około połowy XVIII wieku.

Wtedy właśnie zamożny młodzian, Eustachy Potocki, ówczesny właściciel Radzyna, późniejszy cześnik koronny i generał artylerii litewskiej, zaprzęgnął na zrabach zamku obronnego, budowę pałacu wraz z przyległościami. Dzieło zaprojektował i wystawił w latach 1750—1758 Jakub Fontana, sławny architekt ówczesny, przy pomocy najprzedniejszych artystów i rzemieślników: Jana Chrystiana Redlera i Michała Dollingera (rzeźbiarzy), Jana Bogumiła Pierscha (malarza wnętrza) oraz Józefa Lappena (szkultora).

Tym sposobem powstał jeden z najpiękniejszych i najokazalszych późnobarokowych zespołów pałacowych w Polsce. Pokoje — wyposażone w marmurowe kominki i gdańskie piece kaflowe — zdobne były białymi boazeriami ze złoconą dekoracją roko-

wą i kryształowymi lustrami wiedeńskimi...

Jeszcze w 1813 roku „Nowy Dykcjonarz Geografii” opisywał „ten pałac takiej obszerności i w takim stylu, że wielu panujących niemieckich nic podobnego nie mają. Przy nim leży ogród w dawnym smaku francuskim z przyległą przechadzką angielską”.

Różnorodnych wydarzeń świadkami bywały pałacowe komnaty. W 1767 roku śmietanka dygnitarzy Rzeczypospolitej zebrała się tu na weselu córki Potockiego, Urszuli Cecylii, poślubionej przez księcia Hieronima Jarusza Sanguszkę (ślubu udzielał sam biskup Ignacy Krasiński).

Z końcem XVIII wieku, gdy dobra radziwiłłskie należały do Sapiehów, nadwornym kapelmistrzem pałacowym był Lipiński, ojciec Karola Józefa — późniejszego skrzypka i kompozytora europejskiej miary.

Sala balowa pałacu służyła w 1863 roku jako miejsce posiedzeń carskiego sądu polowego, który wydawał tutaj wyroki śmierci na powstańców. Skazanych wieszano w Radzynie.

Cośfające się wojska hitlerowskie w lipcu 1944 roku spaliły budynki pałacowe. Bezpamiętnie zostały wtedy stracone unikalne wnętrza i wyposażenie.

Od 1950 roku po dzień dzisiejszy — pałac, który ma użytkowników państwowych bardzo wielu, znajduje się w stanie permanentnej remontacji...

Zaś wśród mrówczych owych prac blakają się — ponure czegoś — eienie Jakuba Fontany, który obiekt ten zbudował w ciągu ośmiu lat.

Fotografował:
Waldemar Stępień

Zapiski kanadyjskie

NDIANIE, dzieci natury i jej wspaniali znawcy, odkryli dosyć wcześnie wartości odżywcze soków, które z każdą włosną obficie wy-

czyni nic, aby zapobiec nadchodzącej pladze lenistwa, Manabush wdrapał się na szczyt kłonu z kubłem wody i wlał całą jego zawartość do środka drzewa,

iglastych, dumnych ze swej ciągle żywej szaty. Ciszę przerywa słumione krakanie wron i świergot, rozhasanych wróbl, ginący w rozległych przestrzeniach. Promienie wiosennego słońca igrają z cieniem drzew i krzewów, tworząc na spoczywającym pod śniegiem

KLONOWE ŻNIWA

Zofia Janik

pełniają komórki quebeckich kłonów. Według legendy, syrop klonowy odkryła NoKomis (Ziemia), babka Manabusha, popularnego bohatera licznych indiańskich legend. NoKomis pierwsza wpadła na pomysł robienia oworów w pniach kłonów w celu zebrania soków.

Manabush, widząc, że soki te stanowiły doskonały syrop gotowy do spożycia, pobiegł do NoKomis z prośbą i ostrzeżeniem. Rzekł jej: „Babko, nie jest rzeczą dobrą, że drzewa produkują tak łatwo cukier. Jeśli ludzie będą mogli bez żadnego wysiłku zbierać ten cukier, staną się wkrótce leniwymi. Trzeba by pracowali. Zanim będą mogli uraczyć się tym wspaniałym syropem, należy zmusić ich do rąbania drewna i spędzania całych nocy nad gotowaniem i przyrządzeniem syropu”.

Obawiając się, że NoKomis nie weźmie sobie tych słów do serca i nie u-

rupuszczając w ten sposób słodki, krążący w komórkach sok.

Inna, bardziej praktyczna legenda przedstawia przypadkowego odkrywcę soku klonowego w postaci polującego Indianina, którego strzała wymierzona w jelenia utkwiała w pniu kłonu, dając początek wielowiekowej i chyba najbardziej charakterystycznej dla Quebecu tradycji.

O kłony, piękne, strzelające w niebo, wiotkie kanadyjskie kłony! Przytulne łaski klonowe, gdzie z końcem marca można spacerować po, wyżłobionej płozami sań w głębokim, ale już wilgotnym śniegu, drodze, w towarzystwie skumanych z człowiekiem wiewiórek-rajfurów, natrafiając od czasu do czasu na ślady zająca, świstaka, sikunksa czy wilka. Szumią bezlistne szare korony kłonów na tle lazurkowo-zimnego nieba. Gdzieś tam plamy zieleni drzew

podłożu prawdziwy, zmieniający się z sekundy na sekundę kalejdoskop bieli, złota i szarości.

Las tętni życiem. Ale najcenniejszy w tym lesie jest niewidzialny dla oka, ukryty pod srebrzystoszarą korą drzew istny skarb: żywotne słodkie soki pulsujące wiosną w żyłach kłonów. O ich obecności i eksploatacji świadczą zawieszane u dołu każdego drzewa naczynia, do których przez wyżłobioną w pniu dziurkę splywa złotawo-przezroczysty, lepki płyn. Nie opodal snuje się biały dym, który wydobywa się z szerokich kominów przysadzistych drewnianych chat, zwanych „cabane a sucre” (cukrowymi chatkami). To właśnie w nich wytwarza się z soku klonowego syrop i inne związane z nim produkty.

Dokończenie na str. 11

Kres „polityki równowagi” pułkownika Becka

USTAWIENIE nazw stolic w tytule wskazuje na sens geograficznego pojęcia „polityki równowagi”, nazywanej też „polityką balansowania” albo „równej odległości” — podstawowej zasady działania polskiej służby zagranicznej, kierowanej od 2 listopada 1932 r. przez płk. Józefa Becka, zasady zachowania dobrosąsiedzkich stosunków z obydwiema stolicami i nie wiązania się z żadną zobowiązaniem naruszającymi tę „równowagę”.

Jest to objaśnienie owej zasady może budzić ciekawą uwagę, czy nawet zdziwienie, a to dlatego, że na temat polskiej polityki zagranicznej tegoż czasu, przez minione niemal półwiecze pisano (dodajmy: w różnych językach i nie zawsze łacińskim alfabetem) najczęściej atramentem sporządzonym z fekalii, czasem ideologicznej błoci różnej jakości i barwy, zaś przemawiano publicznie z reguły z pianą na ustach — Beck był wiatrem!

Nie zamierzam tym tekstem nic rozstrzygać w „sprawie” pułkownika, ale

bliższe dni miały „sprawę” trochę wyjaśnić. Na razie powstała nieufność do Londynu, a potwierdziła się też co do Warszawy...

W Berlinie tymczasem przemówienie Chamberlaina zostało przyjęte z najwyższą uwagą i wręcz entuzjazmem, bowiem trudno wyobrazić sobie bardziej szczęśliwy zbieg okoliczności: oto w Wilhelmshaven kończono właśnie ostatnie przygotowania do przyjazdu Hitlera na uroczystość wodowania pancernika „Tirpitz” (notabene 14 lutego wodowano tu bliźniaczy okręt „Bismarck”), co stało się okazją do hitlerowskiej „galówki” najwyższego formatu i wygłoszenia przez kanclerza Rzeszy przemówienia podobnie programowego, jak to uczynione w Londynie dnia poprzedniego...

Hitler z furją zaatakował Wielką Brytanię. Pogrożki były aż tak realne, że rząd brytyjski zebrał się pośpiesznie, by ocenić sytuację i ewentualność niemieckiego ataku! Hitler zapowiedział możliwość wypowiedzenia tzw. układu

W tej ostatniej sprawie, być może, poglądy pułkownika Becka jakby uległy spreycyzowaniu, bowiem tuż po przyjeździe do Londynu dostał telegram z Warszawy: wiceminister Jan Szembek podał swojemu szefowi do wiadomości zapytania M. M. Litwinowa, skierowane parę godzin wcześniej do polskiego ambasadora Wacława Grzybowskiego — czy Polska wyklucza konsultację ze Związkiem Radzieckim tylko przeciw Niemcom, czy w ogóle, i drugie zapytanie — czy Polska zawiadomiła Rząd JKM o swojej odmowie przystąpienia do paktu antykominternowskiego?

Jak z tego widać, Litwinow chciał wyjaśnić sytuację wokół Polski i rozzebrać bliżej, co oznaczała ostatnia propozycja Chamberlaina i wcześniejsza o dzień dni nota brytyjska z projektem układu z udziałem Francji, ZSRR oraz Polski; projektem, którego jeszcze nie ukończono konsultować, gdy już go Brytyjczycy zρέcznie wycofali! Beck 4 kwietnia depešował wprost do Moskwy odpowiedź, której nie powstydziliaby się słynna z mitologii kapłanka Apollina: „Polska przy-

nie upomniał się za tym nieszczęsnym krajem!

W Wielki Czwartek 6 kwietnia uzgodniono ostatnie szczegóły wspólnego komunikatu o rozmowach w Londynie i pułkownik Beck wyruszył dnia następnego do Warszawy. Znowu przez Berlin... I tym razem ze strony niemieckich gospodarzy nikt nie oczekiwał na dworcu, choć mogła to być okazja — dokładnie trzecia od początku 1939 r., tworzona przez polskiego ministra — do ewentualnych rozmów. Przybył tylko ambasador Józef Lipski, na którym spoczywało brzemie utrzymywania kontaktów polsko-niemieckich, bowiem ambasador Rzeszy, Hans von Moltke, został w tym czasie demonstracyjnie z Warszawy odwołany „na konsultacje”... Później jeszcze powrócił, ale to już inna sprawa.

Beck wracał w poczuciu odniesionego sukcesu, bowiem udało mu się — tak u niemal — zamienić deklarację Chamberlaina na dość konkretne zobowiązania brytyjskie, które w sumie zawoalowały układem sojusznictwem, podpisanym jednak dopiero 25 sierpnia 1939 r. Od układu do konkretnej pomocy wojskowej, jak się okazało za kilka dni, było jednak bardzo daleko. Ale to także inna sprawa.

NIEOCZEKIWANIE 15 kwietnia z Neapolem do Hitlera i Mussoliniego wystąpił prezydent Franklin D. Roosevelt, stwierdzając, że Stany Zjednoczone są zaniepokojone rozwojem sytuacji w Europie. Wymienił listę 31 państw, zagrożonych, jego zdaniem agresją, i domagał się zagwarantowania

BERLIN — WARSZAWA — MOSKWA

zrelacjonować jego politykę w kwietniu 1939 roku, kiedy z hukiem propagandy nadawanej z Berlina zawałił się jeden z jej filarów — deklaracja o nieagresji podpisana z Niemcami 26 stycznia 1934 r. Została przez Hitlera nie tylko zerwana, ale winą za to obciążył po prostu Polskę i Wielką Brytanię! Dlaczego te państwa?

NIE rozszerzając zbytnio wyводу, przypominę, że 31 marca 1939 r. premier brytyjski Arthur Neville Chamberlain, odpowiadając na interpelację Clementa Attlee, przywódcy Partii Pracy („Co uczyni Rząd JKM w razie niespodziewanego ataku na Polskę?”), udzielił tzw. gwarancji, które stały się ważnym elementem w rozwoju sytuacji międzynarodowej. Trzeba wspomnieć, że interpelacja była już wcześniej zgłoszona (wiadoma) i minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Earl of Halifax, przekazał dzień wcześniej to zapytanie do ambasadora Howarda Kennarda w Warszawie z poleceniem zasięgnięcia wiadomości u pułkownika Becka. Tenże szczegółowo objaśnił stan stosunków z Berlinem po ostatnich (od 21 marca) bardzo intensywnych spieczach — wskutek ponowienia przez Niemcy żądań wobec Polski i Gdańska, zaś Brytyjczyk zapewniał, że jego premier w porozumieniu z Francją zapewni udzielenie Polsce pomocy.

Zanim jednak nastąpiło udzielenie Polsce brytyjskich gwarancji — w południe 31 marca Chamberlain zaprosił Iwana M. Majskiego, ambasadora radzieckiego, i zapytał, czy w następującym tekście zamierzonej deklaracji: „Mogę dodać, że Rząd Francuski upoważnił mnie do wspólnego stwierdzenia, iż zajmuje takie samo stanowisko w tej kwestii jak Rząd Wielkiej Brytanii”, może stwierdzić, że i rząd radziecki jest także tego zdania? Zdumienie Rosjanina nie miało granic... Z trudem je opanował, stwierdzając, że nie ma technicznych możliwości porozumienia się z Moskwą przed zapowiedzianą na popołudnie debatą w Izbie Gmin, a sam nie jest upoważniony do podjęcia tak ważnej decyzji i zobowiązania! Chamberlain z wyrozumiałością przyjął tę wypowiedź, zaś Majski natychmiast powiadomił Maksyma M. Litwinowa, ludowego komisarza spraw zagranicznych, o treści tej rozmowy, co z kolei tegoż nie mniej zastanowiło: co Chamberlain chciał osiągnąć, tak „przypierając Rosjan do muru”? Na pewno chciał uniknąć kolejnej interpelacji (wiadomo że nie uniknął) w sprawie stosunków swojego rządu z ZSRR. Tego Litwinow nie mógł wiedzieć, ale był przekonany, że za tym „manewrem” Chamberlaina coś się kryje... Naj-

W KWIETNIU 1939 ROKU

Mieczysław Wieliczko

morskiego z 1935 r. i przy okazji krytycznie odniósł się do „polityki okrążania” Niemiec przez brytyjskie „gwarancje” dla Polski. Wszystko to było znakomitym pretekstem do intensywnych zbrojeń Niemiec, min. morskich, wbrew wspomnianemu układowi.

W Warszawie, na Wierzbowej, pułkownik Beck pośpiesznie analizował sytuację i pakował bagaże przed podróżą do Londynu. Chodziło bowiem o to, by brytyjską deklarację zamienić w bardziej konkretne porozumienie, układ, sojusz, w co się tylko da, byle poprawić położenie Polski. 2 kwietnia o 13.16 wyjechał przez... Berlin do Londynu, gdzie stanął następnego dnia o 16.20.

TEN dzień, 3 kwietnia w Berlinie, miał się zapisać w historii świata, a przede wszystkim Polski, faktem skierowania do realizacji „Wytocznych na rok 1939/1940” przez feldmarszałka Wilhelma Keitla, szefa Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, wytycznych, których punkt 2 miał tytuł „Fall Weiss”. Był to terminarz przygotowań Wehrmachtu do agresji na Polskę od dnia 1 września 1939 r. Oznaczało to decyzję ataku na Polskę!

Tego min. Beck, prowadząc dnia następnego intensywnie rozmowy z Chamberlainem i Halifaxem, wiedzieć nie mógł, choć jego deklaracje wobec brytyjskich partnerów nieoczekiwanie zbiegały się z tym, co działo się w Berlinie: zapewniał bowiem Beck, że Polska potraktuje jakiegokolwiek naruszenie statusu Gdańska jako akt agresji przeciw sobie, że nie ustąpi wobec gróźb niemieckich, jest zdecydowana stanie zbrojny opór, no i że Polska nie ufa Związkowi Radzieckiemu.

wiązuje największą uwagę do stosunków ze swymi sąsiadami”. Ponieważ Polska w tym czasie miała dokładnie sześciu sąsiadów i ze wszystkimi poprawne stosunki, zaś z niektórymi (Niemcy, ZSRR, Rumunia) dwustronne układy o różnym stopniu zobowiązań wzajemnych — można było potraktować tę odpowiedź jako pozbycie się zbyt natrętnego partnera...

Tak to też na Kremlu oceniono, poszukując pilnie sposobu rozeznania sytuacji międzynarodowej. Stąd Majski na bieżąco informował telefonicznie Litwinowa o rozmowach pułkownika Becka, a ten ostatni czynił wszystko, by robić jak najlepsze wrażenie już jako sojusznik Brytyjczyków. Nie bardziej niekorzystnego dla oceny sytuacji Polski z tego wynikać nie mogło, bowiem w Moskwie myślenie zdominował „duch Monachium”, czyli obawa kolejnej „zmowy Zachodu”, tym razem z udziałem Polski, z którą ZSRR miał 1412 km granicy!

Nieufność, obawy, urazy, brak informacji i błędne oceny, a zarazem gorączkowe poszukiwanie możliwości poprawy położenia — oto, co jest widoczne w dyplomacji radzieckiej w kwietniu 1939 r. Dodać trzeba kompletne fiasko dotychczasowej linii radzieckiej polityki zagranicznej, której podstawą była idea bezpieczeństwa zbrojowego. Z tego wynikały różnorakie zagrożenia, w tym i takie, które odbijały się niekorzystnie na stosunkach z Polską, stosunkach ze strony ZSRR wyraźnie niechętnych lub wrogich wobec Warszawy. Pułkownik Beck nie czynił jednak żadnych gestów, by Rosjan przynajmniej uspokoić... zwłaszcza, że na oczach całej Europy, Włochy 7 kwietnia najechały Albanii i nikt, dosłownie nikt,

im na 10 lat pokoju. Mussolini, upojony podbojem Albanii sprzed kilku dni (Włochy zademonstrowały 40-krotną przewagę nad armią albańską!), wprost wymślał wystąpienie prezydenta Hitlera zaś zapowiedział udzielenie odpowiedzi w terminie późniejszym, a na razie zlecił, by Joachim von Ribbentrop zwrócił się do wymienionych przez Roosevelta stolic z zapytaniem, czy czują się zagrożone? Noty dyplomatyczne były tak zredagowane, że u niektórych zdeklarowanych sojuszników Niemiec wywołały odpowiedź tchnącą oburzeniem na zamorskiego „mediatora”, inne państwa zbyły to milczeniem, a trzy — Dania, Estonia i Łotwa — potraktowały to jako wstęp do zawarcia paktów o nieagresji z Niemcami. Później to nastąpiło, choć agresja ich nie omięła.

Spośród wymienionych przez Roosevelta państw Ribbentrop nie skierował noty tylko do Polski! Pretekst był bardzo prosty: von Moltke znajdował się jeszcze w Berlinie, więc w Warszawie brakło stosownej rangi urzędnika w dyplomacji niemieckiej, by pismo doręczyć do polskiego MSZ. Domyślano się, że odpowiedź strony polskiej posłużyłby scenariusz „imprezy”, jaką Hitler zorganizował ze swymi pretorianami.

Berlin nadal przyciągał uwagę społeczności międzynarodowej, bowiem 29 kwietnia odbyła się tu uroczysta parada na 50-lecie urodzin Führera. Czegoś podobnego świat dotąd nie widział! Takiej masy artylerii, czołgów, wołów pancernych i defilujących kolumn różnych oddziałów — wojsk i formacji paramilitarnych! Zadbano wyjątkowo o to, by korpus dyplomatyczny był w komplecie na specjalnie przygotowanych trybunach, by świat dostrzegł militarną potęgę Niemiec, które wciąż zabiegają o utrzymanie pokoju...

Jeszcze z lam prasy „nie zeszyły” ostatnie komentarze, gdy znów Berlin zapowiedział na 28 kwietnia posiedzenie Reichstagu i ważne przemówienie Hitlera. Agencje z uwagą oczekiwały serwisu DNB (Deutsche Nachrichten Büro), a korpus dyplomatyczny ponownie w komplecie wybierał się do swoich łóż w odbudowanym z przepychem Reichstagu. Nowym tu elementem, powszechnie zwracającym uwagę, było unundurowanie posłów, bowiem poszczególne korpusy służby państwowej Rzeszy, zawody, podobnie jak członkowie organizacji społecznych, zostały zobowiązane do noszenia uniformów służbowych. W podobnej gali mundurowej „Führera” zjawiał się Hitler.

Z całą szczególną arogancją i gwałtownością dokonał przeglądu sytuacji międzynarodowej. Rozpoczynając od miążżącej krytyki apelu prezydenta Roosevelta, poprzez podobną krytykę „polityki okrążania” Rzeszy ze strony wcześniej Paryża, teraz Londynu i Warszawy, doszedł do konkluzji, że ta polityka narusza deklarację o nieagresji z Polską z 1934 roku, jak również „układ morski” z Wielką Brytanią z 1935 roku. Wobec tego dla Rzeszy te pakti nie istnieją.

Przy tej okazji światowa opinia publiczna wreszcie dowiedziała się o niemieckich żądaniach wobec Gdańska i Polski, stawianych od 24 października 1938 roku, ponawianych w styczniu i marcu 1939 roku. Hitler nie wspominał tu o propozycjach przygotowania Polskę do paktu antykominternowskiego, a dodajmy, że w różnej formie Niemcy ponawiali te propozycje aż dziewięćdziesiąt razy. I pomysł, że programowo antyradycki polski minister spraw zagranicznych i jego współpracownicy tyle razy odrzucili tę propozycję... Trudno o lepszy przykład poczucia honoru i poszanowania traktatowych zobowiązań w ramach własnej myśli politycznej „równej odległości” do Berlina i Moskwy.

Wypomniał Hitler także odrzucenie przez Polskę tzw. traktatu gwarancyjnego dla Słowacji (wspólnego poszanowania jej statusu przez Węgry, Polskę i Niemcy), o czym po raz pierwszy dowiedziano się w Warszawie z tego właśnie fragmentu jego mowy. No i by „sprawę” ostatecznie zakończyć, dodał, że wszelkie te propozycje były jednorazowe i Polska już nie może oczekiwać na ich powtórzenie. Oznaczało to definitywne zerwanie z Warszawą.

Kilka minut po transmisji radiowej z Berlina, Hans Krümmner na Wierzbowej, a Herbert Dirksen w Foreign Office złożyli oficjalne noty dyplomatyczne w sprawie zerwanych układów, przy czym nota do Polski utrzymana była w tonie ostrym i agresywnym, do Wielkiej Brytanii — raczej w tonie pojedynczym, niemal usprawiedliwiającym „postępek” Hitlera.

Inną ważną okolicznością w przemówieniu Hitlera, która zwróciła uwagę opinii międzynarodowej, był fakt, że ani razu nie wymienił Związku Radzieckiego, ani razu nie wspominał o pakcie antykominternowskim. Gorączkowo poszukiwano odpowiedzi na tę „zagadkę dyplomatyczną”. Co miało to oznaczać?

SŁUŻBY dyplomatyczne w Berlinie, szczególnie zainteresowane tą kwestią, ustaliły, że 17 kwietnia ambasador radziecki Aleksiej K. Mierekalow (objął placówkę w lipcu 1938 r.) po raz pierwszy złożył wizytę w Auswärtiges Amt (niemieckie MSZ) przy słynnej Wilhelmstrasse i odbył dłuższą rozmowę z Ernstem Weizsäckerem, zastępcą Ribbentropa. Wkrótce, 25 kwietnia, podjęto rozmowy w sprawach traktatu handlowego, ale prawdziwe rewelacje podał kilka dni później Robert Coulondre, ambasador francuski (w latach 1936 — 1938 ambasador w Moskwie, który dopiero co przybył do Berlina), pisząc do swojego ministra w raporcie, który dotarł do Paryża 7 maja:

„Pozwalam sobie zwrócić szczególną uwagę Waszej Ekscelencji na informacje zawarte w załączonym raporcie, ponieważ osoba, która nam je dostarczyła, jest wyjątkowo dobrze usytuowana, zna zamiary Führera i jego głównych współpracowników. Te nowe wiadomości można streścić w sposób następujący:

1. Führer jest zdecydowany zapewnić powrót Gdańska do Niemiec i połączenie Prus Wschodnich z Rzeszą.

2. Führer, cierpliwy i rozważny, nie podejmie sprawy wprost, ponieważ wie, że teraz już Francja i Anglia nie ustąpią, i że koalicja, na którą by się natknął, byłaby bardzo silna. Będzie manewrował, dopóki nie wybije jego godzina.

3. Führer porozumie się w tym celu z Rosją. Nadejście dzieł, kiedy osiągnie swoje cele w taki sposób, że alianci nie będą mieli żadnego powodu ani nawet żadnego zamiaru interwencji. Być może dojdzie do czwartego rozbioru Polski. W każdym razie zobaczymy wkrótce, że coś się dzieje na Wschodzie...”

Do tego raportu było dołączone streszczenie rozmowy z informatorem — wiadomo, że był to jeden z członków adiutantury Hitlera (niewykluczone, że celowo podawał Francuzom różne „rewelacje”, i to nie jeden raz!) który miał wypowiedzieć takie myśli:

„Czy nie uderzyło pana w jego [Hitlera] ostatnim przemówieniu, że nie zrobił żadnej wzmianki o Rosji? Chyba zauważył pan z jakim zrozumieniem prasa poranna — która zresztą otrzymała ściśle instrukcje w tym względzie — pisze o Molotowie i Rosji? Doszły zapewne pana wiadomości o pewnych toczących się rozmowach oraz o podróży do Moskwy ambasadora i attaché wojskowego Związku Radzieckiego. Obaj zostali przyjęci w przeddzień wyjazdu, pierwszy przez Ribbentropa, drugi w dowództwie naczelnym Wehrmachtu, i dokładnie poinformowani o stanowisku rządu Rzeszy. Nie mogę doprawdy powiedzieć panu o tym nic więcej, ale dowiemy się pan pewnego dnia, że coś się dzieje na Wschodzie”.

Powtórzyłem ten tekst za pamiętnikiem Grigore Gafencu, rumuńskiego ministra spraw zagranicznych („Ostatnie dni Europy. Zagraniczna dyplomacja w 1939 roku”, Warszawa 1984, s. 87), który był przejazdem w Polsce nocą z 16 na 17 kwietnia w drodze z Bukaresztu do Berlina. Podczas tej podróży, na trasie z Rzeszowa do Katowic rozmawiał z płk. Beckiem. Relacja o tym zajmuje w pamiętniku prawie 10 stron druku. Potem Gafencu prowadził rozmowy w Berlinie, Brukseli, Londynie, Paryżu, Rzymie i Belgradzie. Powrócił do Bukaresztu 8 maja 1939 r. Był więc — jak mało który dyplomata — zorientowany w biegu spraw międzynarodowych powiązanych z Warszawą na przełomie kwietnia i maja. Rozmawiał faktycznie ze wszystkimi aktywnymi politykami tego czasu, stąd jego opinie wydają się mieć spore znaczenie, nawet jeżeli, jak w przytoczonym przypadku, włącza do swoich wspomnień dokumenty obce.

CZY polskiej służbie dyplomatycznej raport Coulondre był szany? Wobec zdekompromitowania akt polskiego MSZ — to osobna kwestia z kręgu wręcz sensacyjnych „białych plam” — trudno dać jednoznaczny odpowiedź. Najbardziej kompetentny wydaje się być Juliusz Łukasiewicz, ambasador w Paryżu (uprzednio, jak Coulondre, na placówce w Moskwie, krótko w tym samym czasie), którego wspomnienia ogłosił swego czasu Wacław Jędrzejewicz („Diplomat in Paris 1936—1939”, New York — London 1970), ale w tym tobie brak poszukiwanej wiadomości...

Można natomiast stwierdzić, że sytuacja międzynarodowa Polski na wiosnę 1939 roku uległa zdecydowanemu pogorszeniu i to za przyczyną wielu wydarzeń. W najmniejszym stopniu owo pogorszenie wynikało z polskiej „polityki równowagi”, bowiem uznanie deklaracji o nieagresji z 1934 r. za porzucenie mocy było jednostronnym aktem Hitlera. Kto mógł wtedy domniemywać, że dokładnie pięć miesięcy później (28 września 1939 r.) zawarty zostanie II układ Ribbentrop — Molotow „po rozpadnięciu się państwa polskiego”, jak w jednym z dokumentów z nim związanych stwierdzono. Kto?...

Dr Mieczysław Wieliczko jest adiunktem w Zakładzie Historii Najnowszej Instytutu Historii UMCS.

KLONOWE ŻNIWA

Dokończenie ze str. 9

Klony cukrowe to wysokie, do 30 metrów dochodzące drzewa o średnicy wahającej się między 70 a 90 cm. Drewno klonowe o biało-żółtym kolorze znane jest ze swej twardości i dlatego używa się go w przemyśle budowlanym do konfekcjonowania wsporników i solidnych podłóg, a także mebli, narzędzi farmerskich itp. Stanowi też ono cenny materiał palny. Ze wszystkich rodzajów drzew służących na opał — sagi klonowe palą się najwolniej, wydzielając przy tym dużą ilość ciepła. Popiół zawierający potas wykorzystuje się jeszcze dzisiaj jako dodatek do nawozów. W połowie ubiegłego wieku klony dostarczały cztery piąte potasu Ameryki Północnej.

W Kanadzie, tym olbrzymim kraju, szczerze przez naturę obdarowanym w naftę, ryby, zwierzynę i futra, jeziora, rzeki i oceany, lasy, cenne minerały itd., klony znajdują się na honorowym miejscu. Kanada to, jak każdy wie, kraj klonowego liścia, który od 1965 roku urósł do rangi symbolu, stając się oficjalnym, w biało-czerwonych kolorach, motywem godła państwowego mojej drugiej ojczyzny. Całe stulecie upłynęło od założenia Kanady zanim zdecydowano się na wybór klonowego liścia jako głównego elementu kanadyjskiej flagi, symbolu jedności narodu.

Mylne byłoby jednak sądzić, że klon to najważniejsze i najbardziej rozpowszechnione na całym terytorium Kanady drzewo. Klony rosną przede wszystkim we wschodniej części kraju, a za szczególne swe królestwo obrały sobie południowy Quebec. Rejon zwany Beauce dostarcza przeszło 50 proc. produkcji syropu klonowego Quebecu. Kanada natomiast jest głównym producentem klonowych artykułów spożywczych, wypuszczając corocznie na rynki międzynarodowe trzy czwarte światowej produkcji tychże artykułów.

Strefa klonów cukrowych obejmuje poza Quebeciem okolice Wielkich Jezior zarówno po stronie kanadyjskiej, jak i amerykańskiej, oraz obszar Appalachów, tzn. stany Vermontu, Nowego Jorku, Pensylwanii i Zachodniej Wirginii.

Czemu zawdzięcza wschodnioamerykański klon swe unikalne właściwości? Od przeszło stu lat naukowcy starają się zrozumieć, na czym polega proces tworzenia się soków i co go powoduje. Jedną rzeczą jest pewna: konieczną do powstania soku jest fluktuacja temperatury wokół punktu zamrażania — a więc w nocy przymrozek, a za dnia ocieplenie. Są wiosny, w których ocieplenie przychodzi za przedko lub przymrozki trwają za długo. Pojawiają się wtedy alarmujące artykuły w prasie o milionowych stratach w przemyśle cukrowo-klonowym.

Ale inna, dużo gorsza niż kaprysy natury, plaga czyha na złotodajne klony. Winę tym razem ponosi człowiek i jego nieokiełznana chęć zysku. Kwaśne deszcze niszczą w tej wybitnie uprzemysłowionej części świata ziemię, zanieczyszczając wodę i powodując obumieranie lasów, nie tylko klonowych. Nawet w moim skromnym ogródku pojawiły się od niedawna czarne plamy na liściach buraków.

Rząd kanadyjski stara się polepszyć tę sytuację, pertraktując ze swym potężnym, zanieczyszczającym atmosferę, południowym sąsiadem. Na razie dialog ten nie przyniósł zadowolających rezultatów.

Potrąw przyrządzanych z syropem klonowym jest w quebecko-kanadyjskiej kuchni, jak należy się spodziewać, zatrzęsienie. Wśród całej plejady deserów, ciast, ciasteczek, budyni, sufletów, pianek znalazła się też i szarlotka rosyjska, spreparowana na modłę quebecką przez tęskniących pewnie za swojskimi przysmakami... członków kanadyjskiej ambasady w Moskwie. Ze do deserów dodaje się słodki syrop, to w końcu nic dziwnego. Ale jeśli i piersi kurze w tymże syropie, polewa się nim szynki na gorąco, dolewa się go do jajecznicy lub do jajek w koszulkach. Na dodatek nowy deser

rodem z dalekiej Azji pojawił się na quebeckim stole. Kanae Kondo, studentka Wyższej Szkoły Ciastkarskiej w Osaka, została w kwietniu 1987 roku laureatką konkursu gastronomicznego, zorganizowanego przez quebecki Instytut Turystyki i Hotelarstwa w celu rozpowszechniania wyrobów klonowych — nie drewnianych, lecz spożywczych — w japońskiej kuchni. Deser, przyrządzony przez 19-letnią Kanae, w skład którego wchodzi — obok nieśmiertelnego syropu — białka ubite na piankę, otrzymał literacką nazwę „Ani z klonowego lasku” na cześć „Ani z Zielonego Wzgórza”, bardzo poczytnej kanadyjskiej książki, przetłumaczonej na wiele języków, w tym także na japoński.

Najlepszej niewątpliwie okazji do degustacji tych wszystkich smakolików dostarczają w „okresie cukrów” (temps des sucres), na wiosnę, gdy soki zaczynają krążyć w pniach klonów, chaty cukrowe (cabane à sucre), znajdujące się na skrajach klonowych lasów. Dzisiaj, u progu XXI stulecia, trudno już natrafić na typową, z desek wzniesioną chatę, gdzie w gronie rodziny właściciela lasku, który jednocześnie zajmuje się przetwórstwem soków klonowych, można w kameralnej atmosferze raczyć oko widokiem gotującego się syropu, nos rozmaitymi słodkimi i mięsnymi zapachami, no i oczywiście podniebienie obfitym obiadem. Jest i szynka, i boczek, i jajka, i biała fasolka, która, gotowana w klonowo-melazowym sosie, utraciła swój jasny kolor, są i desery, chleb domowy, masło, kawa itd. Raj dla maluchów stanowi lanie gorącego i gęstego syropu bezpośrednio na śnieg. Syrop w zetknięciu ze śniegiem twardnieje i jest w ten sposób konsumowany przy pomocy drewnianych pałeczek. Nawija się na te patyczki ciągnący się syrop, i hop, do buzi!

Niestety, zamiast przytulnych cukrowych chatek, pobudowano w okolicy lasów klonowych olbrzymie restauracje-barki, które pomieścić mogą setki osób. Zajeżdżają do takich restauracji całe autobusy albo ze starszymi osobami, albo z młodzieżą, lub z pracownikami różnych zakładów, biur itd. Ludzie różnym wchodzi do tych sal-hangarów, siadają blisko jeden obok drugiego przy nie kończących się, już nakrytych stołach, a panienki-kelnerki zaczynają krążyć i podawają w błyskawicznym tempie przygotowane uprzednio półmiski. Wrzawa, gwar, jazgot, każdy coś mówi lub raczej krzyczy do ucha czasem przynależnego sąsiada, a potem wszyscy po skończonym obiedzie wstają i wracają do domów.

Tak więc cywilizacja i pęd życia pozbawia nas wielu prostych i jaskie ludzkich przyjemności. Ale mimo to warto, choćby raz uczestniczyć w uczcie na cześć cukrowych klonów. Ja z mojej strony przyrzekam, że jeśli któryś z polskich czytelników dotrze do mnie do Drummondville w syropowym okresie roku, to znowiluzję wszystkich moich quebeckich przyjaciół zadowolonych tu od trzech stuleci, aby znaleźć w pobliżu charakterystyczną, małą i tradycyjną cukrową chatkę.

Zofia Janik

(Fragment książki pt. „Quebec, moja druga ojczyzna”, złożonej do druku w Wydawnictwie „Polonia”, Oddział w Lublinie).

Autorka, absolwentka romanistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, przebywa od początku lat siedemdziesiątych w Kanadzie. Na Uniwersytecie Montrealskim uzbierała doktorat, na podstawie rozprawy o twórczości Witolda Gombrowicza. Ukończyła także studia bibliotekoznawcze i pracuje w tej dziedzinie.

PO aresztowanych w 1944 i początkach 1945 r. ginął wszelki ślad. Kamień w wodę. Zapłakane matki, żony, siostry wędrowały od jednego do drugiego aresztu, od NKWD do UB, od milicji do informacji wojskowej i zwykle nigdzie nikt nie chciał z nimi rozmawiać, nikt nie chciał lub nie mógł im nic powiedzieć. Chodziły za informacjami przeważnie kobiety, powszechne było bowiem przekonanie, że to jest bezpieczniejsze, gdyż ojciec poszukujący syna, syn ojca czy brat brata może zostać tak samo aresztowany, jak przed kilkoma godzinami czy dniami ich bliski.

W polskich organach w większości uzyskiwano stwierdzenie, że tutaj takiego nie ma, nic nie wiadzą i nie należy tu więcej przychodzić. Czasami trafiano na jakiegoś uczynniejszego człowieka, który przynajmniej okazywał pozory zainteresowania, zapisywał nazwisko aresztowanego i proponował przyjscie po wiadomość na jutro. Następnego dnia też nic nie wiedział albo go nie było, ale to okazywanie chęci pomocy podnosiło szukających na duchu, pozwalało wierzyć, że i tutaj są ludzie, że nie wszyscy jeszcze stracili resztki serca.

Bywały jednak i inne sytuacje. Chodząca wiele dni po wszystkich organach nowej władzy, znękana bólem kobieta, poszukująca aresztowanego w Woli Gałęzowskiej męża, ostatniego komendanta tamtejszego rejonu AK, zostaje wepchnięta do piwnicy-aresztu w budynku milicji przy ul. Ewan-gelickiej (dziś L. Waryńskiego). Piwnica pełna aresztantów, mężczyzn i kobiet. Nie pomagają żadne prośby; tłumaczenie, że zostawiła pod opieką obcych ludzi; małe dziecko, też nie przemawia do człowieka z karabinem i opaską, pilnującego aresztu. Tak wspomina to dzisiaj pani L. K.:

„Odzew spowodowała dopiero któraś tam kolejna prośba o wypuszczenie, poparta tym razem argumentem:

- Dam panu wszystkie pieniądze, jakie mam.
- A ile masz?
- Wszystko, co mam, to dwieście złotych.
- No, to dawaj!
- A puści mnie pan?
- No, puszcę.

Dalał te dwieście złotych, a to były wtedy dla mnie pieniądze. Nie miałam żadnych dochodów, nie miałam za co żyć z małym dzieckiem. Wybiegłam z tej piwnicy, a on za mną:

— Tylko się nie oglądaj, bo cię zastrzelę!

Wyszłam za mną po schodach i stał. Coś okropnego, co się ze mną wówczas działo. Podobno, jak uciekałam stamtąd, to krzyczałam nietudzkim głosem. Nie pamiętam tego, tylko mi przechodnie opowiadali. Biegłam, żeby się za aptekę schować, za mur. Kiedy tamtędy przechodziłam do pracy i z pracy, to ciągle widzę tę piwnicę, zawsze patrzę tam na dół. A przecież minęło już czterdzieści pięć lat”.

Poszukujący chodzili również do NKWD przy ul. Chopina 18 i Uniwersyteckiej 3, ale tam tym bardziej nie było żadnych możliwości dowiedzenia się czegoś, nie mówiąc już o przekazaniu paczki czy wzięciu z uwięzionym. Osoby pytające, usiłujące dowiedzieć się czegoś, były przepędzane przez mołojców z pepesami w rękach, pilnujących budynków. Oburzali każdego natrętnego odpowiednio rozbudowaną więzanką soczystych przekleństw i grozili zastrzeleniem, jeżeli natychmiast stąd się nie wyniesie.

Pozostawał jeszcze Zamek. Stały wokół niego, tłoczyły się przy bramie codziennie tłumy ludzi, w większości kobiet. Wszystkie smutne, zapłakane, z węzłkami, paczkami w rękach. Zamknięte w sobie, każda przeżyująca własny ból, nie dzieląca się nim z innymi, bo trudno było liczyć na pomoc czy radę ze strony innych, również strapiionych. Czasami wymyślały jakieś informacje, dzieliły się nimi, jeżeli któraś z nich wiedziała coś więcej niż pozostałe. Niektóre były z dziećmi, które chodziły wokół Zamku, wpatrując się w okna i mając nadzieję, że może zookazywał w nich swego tatusia. Nie wiedziały, że wi-

doczne są jedynie okna korytarzy, po których chodzą tylko strażnicy, a cele mają okna wychodzące na dziedzi-niec.

Na Zamku przebywało podobno dwa i pół do trzech tysięcy więźniów, a bywały okresy, że ich stan przekraczał nawet trzy tysiące. Nie dziwił się więc nikt z mieszkańców Lublina, że codziennie kilkuset ludzi krążyło wokół ponurych murów, usiłując dowiedzieć się, czy ich bliski jest wśród więźniów. Po bezowocnych poszukiwaniach w kilkunastu innych aresztach i więzieniach Lublina, przychodzono z paczką pod Zamek i usiłowano podać ją przez żołnierza-strażnika pilnującego katowni. Na przyjmowanie paczek były wyznaczone dni i godziny. W tym czasie strażnik dysponował aktualną listą więźniów, sprawdzał podane nazwisko i jeżeli szukany był wśród więźniów Zamku, przyjmował paczkę, zaznaczając ten fakt w posiadany wykazie, ponieważ paczki można było przekazywać najwyżej raz w miesiącu. Przyjęcie paczki było znakiem życia poszukiwanego więźnia, dawało jakąś iskierkę nadziei.

Zaginieni bez wieści

W każdym miesiącu dla dziesiątków rodzin nadchodził jednak taki dzień, że strażnik oświadczał: „Takiego na

szących o kopie akt z procesów ich najbliższych. Nadal nie wiadomo, czy wszystkie ślady zbrodni z początkowych lat funkcjonowania lubelskiego Zamku w Polsce Ludowej, znajdują się w CAW, a nie są udostępniane nawet najbliższej rodzinie zamordowanych, czy też nie ma ich w tych zbiorach, w których być powinny, a znajdują się w aktach Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. A może nie ma ich już ani w jednym, ani w drugim archiwum?

Rodziny zamordowanych w tych latach na lubelskim Zamku, do dzisiaj nie chcą uwierzyć, że oficerowie Armii Krajowej, niejednokrotnie dzielnie walczący z Niemcami na wielu frontach drugiej wojny, mogli być sądzeni w Lublinie, Kąkolewnicy, Radzynie i wielu innych miejscowościach Polski „lubelskiej” z tego samego dekretu PKWN „o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców narodu polskiego” z dnia 31 sierpnia 1944 r., z którego później (podkreślam: później) sądzono katów z obozów koncentracyjnych, obozów zagłady milionów ludzi.

Trudno rzeczywiście pogodzić się z tym, że przed skazaniem z tego de-

chia” w Lublinie. Aresztowany przez UB w roku 1947 lub 1948, więziony na Zamku, zaginął później bez śladu. Brat aresztowanego, który usiłował dowiedzieć się o jego losach, usłyszał w UB, że ma przestać interesować się tym, bo w przeciwnym razie i on znajdzie się tam, gdzie brat. W latach pięćdziesiątych dotarły do rodziny wieści, do dziś nie sprawdzone, że aresztowany trafił z Zamku po śledztwie do jakiegoś zakładu dla psychicznie chorych i tam zmarł.

Więźniowie polityczni, nazywani przez współwięźniów „wojskowymi”, ponieważ sądzeni byli przez sądy wojskowe, stanowili w różnych okresach istnienia więzienia różny odsetek ogólnej liczby więźniów. W drugim półroczu 1944 roku i pierwszym kwartale 1945 roku, ze względu na pełnienie przez Lublin funkcji stolicy terenów polskich zajętych przez Armię Czerwoną, a przez Zamek — funkcji centralnego więzienia NKWD na terenie Polski, zdecydowaną większość więźniów Zamku stanowili polityczni. Po przeniesieniu centrali „polskiego” oddziału NKWD, z generałem Sierowem-Iwanowem na czele, do Warszawy zmieniła się nieco rola więzienia na Zamku, ale nie zmniejszyła się przez to liczba więźniów politycznych, ponieważ okrzepły już resort Bezpieczeństwa Publicznego pracował co naj-

LUBLIN

- NARODZINY TERRORU

2

Zbigniew Muszyński

Zamku nie ma”. Nie pomagały tłumaczenia, że przecież niedawno był, że podawano mu paczkę. „Nie ma i już! Nie ma co dyskutować! Proszę odejść i zrobić miejsce innym!” I wtedy wracało to samo zmartwienie, jak przed miesiącem czy dwoma: co się z mężem, ojcem czy bratem dzieje?

Nie brano na ogół pod uwagę najgorszego — wykonania wyroku śmierci. Ludzie nie wierzyli, nie wyobrażali sobie po okupacyjnych okrucieństwach, po latach pieców Majdanka, że coś podobnego może dziać się i teraz. Przecież ich bliscy byli niewinni, nikogo nie zabili, z nikim — poza Niemcami — nie walczyli, a teraz jest przecież wolność, hitlerowiec nie ma.

Powstawała wiedza dla wielu rodzin nowa uluda. Wiedziiano już powszechnie o prowadzonych od września 1944 r., masowych wywózkach do obozów w ZSRR, mówili o tym, potwierdzali to przede wszystkim kolejarze, którzy z przerażeniem patrzyli na formowane na stacjach w Lublinie, Przemyslu, Białej Podlaskiej, Sokółowie Podlaskim i na wielu innych, transporty na Sybir, jak je wówczas powszechnie określano.

I może to się wydać dzisiaj dla wielu paradoksem, ale Sybir dawał nadzieję, aż do lat 1947—48, kiedy to ludzkie cienie wracały do kraju jako „repatrianci”. Zaczynało się wtedy kolejne szukanie, rozmowy, czy ktoś, gdzieś nie spotkał się z takim, a takim. Kiedy było już wiadomym, że nikt, nigdzie poszukiwanego nie spotkał, zaczynało szukać w metrykach zmarłych w kościele katedralnym, w urzędzie stanu cywilnego w magistracie, na cmentarzu przy ul. Unickiej. Zdarzało się, że trafiano na ślad zbrodni, ale pozostały nadal dziesiątki takich rodzin, które do dziś nie wiedzą, kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach zginęli ich bliscy — niegdys więźniowie lubelskiego Zamku.

Centralne Archiwum Wojskowe w Rembertowie, które powinno posiadać akta sądów wojskowych, m.in. również z lat 1944—45, nie zawsze pozytywnie odpowiada na listy rodzin pro-

krety w grudniu 1944 r. pierwszych zbrodniarzy hitlerowskich z terenu Polski — oprawców z Majdanka, skazano na jego podstawie w październiku i listopadzie tegoż roku i wykonano natychmiast wyroki śmierci na kilkudziesięciu oficerach, podoficerach i szeregowych Armii Krajowej. Trudno dać wiarę temu, że dokumenty tych zbrodni mogą znajdować się nadal w archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, może na jednej półce z aktami katów z Majdanka.

Sprawy te są nadal nie znane społeczeństwu, czekają na odkrycie, ujawnienie. Nawet tak znanemu badaczowi losów cichociemnych, jak Jędrzej Tucholski, nie udało się dotychczas zgłębić tajemnic śmierci więźniów lubelskiego Zamku. W kolejnym wydaniu jego „Cichociemnych” (ostatnio 1988) ustalił jedynie, i to jak na ironię na podstawie „Księgi poległych na polu chwały” (W-wa 1974, Wyd. MON), że cichociemny por. art. Aleksander Kułakowski — „Rywał”, służąc w 3 Brygadzie Artylerii Haubic, zaginął na Lubelszczyźnie bez wieści 29 października 1944 r. Autor przypuszcza, i słusznie, że „najprawdopodobniej zginął tragicznie w Lublinie tego roku”, ale niestety, do odpowiednich dokumentów potwierdzających przypuszczenie nie udało mu się dotrzeć. A przecież powinny one być w jednym z dwu wymienionych archiwów, ponieważ właśnie z lubelskiego Zamku przekazano na cmentarz przy ul. Unickiej 13 grudnia 1944 roku zwłoki Aleksandra Kułakowskiego i Zygmunta Turowicza-Dworakowskiego. Wyroków na nich prawdopodobnie nie wydano i nie wykonano, ponieważ przy przekazywaniu ich zwłok nie użyto tradycyjnej formuły „zwłoki skazanych” lecz „zwłoki więźniów”. Najprawdopodobniej zostali więc obydwa zamęczeni w śledztwie lub zastrzeleni bez wyroku, ale i w jednym i w drugim przypadku dokumenty wstępnego śledztwa powinny w archiwach istnieć.

Przypadki „zaginięcia” uwięzionych zdarzały się także i w późniejszych latach. Przykładem może być sprawa Władysława Ignaszewskiego, pracownika fabryki maszyn rolniczych „Le-

mniej równie wydajnie, jak uczący go zawodu — NKWD.

W ciągu pierwszego roku nowej władzy (lipiec 1944 — czerwiec 1945) więzienie na Zamku zapełniali głównie oficerowie, podoficerowie i żołnierze AK oraz członkowie różnych szczebli Delegatury Rządu RP, aresztowani w ramach generalnej rozprawy z nimi, prowadzonej w tym czasie na terenie Polski „lubelskiej”. Oskarżano ich i skazywano bez udowodnienia jakiegokolwiek wrogiego działania na ogół za to, iż „nie bacząc na to, że organizacja AK została dekretem PKWN rozwiązana, oskarżony należał do organizacji AK, mającej na celu obalenie demokratycznego ustroju Państwa Polskiego, w charakterze aktywnego członka, kontaktował się z innymi członkami organizacji i będąc obowiązany do służby wojskowej, nie uczynił zadość publicznemu wezwaniu do tej służby w terminie oznaczonym dekretem PKWN” (cytat powtarzający się w wielu wyrokach). Oskarżenie takie wystarczało w tym okresie do skazania, na ogół na kary śmierci, kilkuset osób od pułkowników po zwykłych szeregowych żołnierzy, niejednokrotnie nie służących nawet w przedwojennym wojsku, a jedynie walczących z wrogiem w szeregach Armii Krajowej.

Późnym latem 1945 roku, w wyniku amnestii ogłoszonej po utworzeniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, z Zamku wypuszczono znaczną część więźniów politycznych. Przez pewien czas codziennie opuszczało Zamek 15—30 więźniów objętych amnestią. Wychodziły oczywiście płotki, grube ryby zostawały. Jeden z oficerów UB, „żegnający” wychodzących więźniów, mówił im jednak na odchodnie: „Wypuszczamy was, bo Mikołajczyk to wywalczył, ale nie myślcie sobie, że my damy temu ch... rzadzić. I on, i wy znajdziecie się jeszcze tutaj”. Widać był dobrze zorientowany w zamierzeniach politycznych władz.

Nowe generacje więźniów

Więzienie i skazywanie w pierwszych miesiącach „ludowej” władzy tysięcy ludzi, wywożenie do obozów w ZSRR — od sierpnia 1944 r. poczynając — dziesiątków tysięcy żołnierzy AK i działaczy podziemia antyhitlerowskiego, spowodowały powstanie w 1945 roku zbrojnego podziemia. Była to samoobrona eksterminowanej ludności. Nie podziemie wywołało wojnę domową, lecz bezwzględny terror władzy spowodował powstanie podziemia, a walka była już tylko następstwem.

W drugim, poenkawudowskim okresie działania więzienia „pensjonariuszami” politycznych cel Zamku stawali się coraz częściej żołnierze zbrojnego podziemia z różnych jego odłamów organizacyjnych i politycznych. Ujęci w czasie akcji zbrojnych, trafiali na ogół bezpośrednio na Zamek, natomiast aresztowani w innych okolicznościach zwykle odbywali wstępny staż w śledztwie w więzieniach UB i MO w różnych miejscach Lublina (Krakowskie Przedmieście 47, Ewangelicka, Krótka, Cicha, Spokojna), oraz poniemieckim obozie pracy przy ul. Probstowo 6, obecnie L. Szenwald, skąd po selekcji i wstępnym śledztwie — „groźniejsi” trafiali na Zamek.

W tym samym okresie znaczną część politycznych więźniów Zamku stanowili mieszkańcy wsi Lubelszczyzny, aresztowani za ukrywanie broni i udzielanie pomocy zbrojnemu podziemiu. W wielu przypadkach stosowano wówczas odpowiedzialność zbiorową całych rodzin.

Za nie dającego się ująć Korzeniowskiego z Wytyczna, b. żołnierza PSZ na Zachodzie, którego UB chciało koniecznie wziąć „pod opiekę”, aresztowano w 1948 (lub na początku 1949) roku i umieszczono na Zamku jego sześćdziesięcioletnią matkę, dwie siostry i narzeczoną w ciąży. Po zastrzeleniu ściganego i identyfikacji zwłok przez siostrę nocą na Zamku, wypuszczono matkę, natomiast siostry i narzeczoną zasądono na kary kilkuletniego więzienia. Podobnie za Stanisława Wnuka ps. „Opal” siedziała przez wiele miesięcy w piwnicach przy Krakowskim Przedmieściu 47 cała jego rodzina.

Za ukrywanie poakowskiej broni, bez jakichkolwiek dowodów jej użycia po lipcu 1944 r., więziono całe rodziny i skazywano na śmierć. Z rodziny Nau-miuków (wieś Czeberak, gm. Milanów) za taki czyn uwiezono ojca Piotra (49 lat) i dwóch synów: Stanisława (27 lat) i młodszego Józefa. Stanisława skazano w pokazowym procesie, z obowiązkowym udziałem setek ludzi, na śmierć (stracony na Zamku 6 marca 1948 roku), ojca na 5 lat więzienia. Skonfiakowano także na rzecz skarbu państwa połowę gospodarstwa należącego do skazanego Stanisława. Są to tylko pojedyncze przykłady, spraw takich były w tym czasie dziesiątki w Lublinie, a tysiące w Polsce.

Za takie właśnie sprawy „polityczne”, jak wspomniane wyżej, czy też za udział w uroczystościach religijnych w Lublinie zamykano nawet ciężarne kobiety, które rodziły w szpitalu należącym do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (przy ul. Spokojnej, obecnie 22 Lipca, naprzeciwko Urzędu Wojewódzkiego) i razem z niemowlętami i dziećmi odsiadywały kilkuletnie wyroki. Na Zamku była specjalna cela dla matek z niemowlętami i dziećmi, a w kobiecych więzieniach, w których więźniarki były angażowane do pracy (np. w Grudziądzu, gdzie w szwalniach szyły bieliznę i odzież dla wojska, UB i milicji), istniały nawet więzienne żłobki, prowadzone przez więźniarki, do których matki oddawały na czas pracy swoje dzieci.

Skierowanie olbrzymich sił do walki ze zbrojnym podziemiem i zastosowanie przy tym metod bezwzględnej pacyfikacji całych rejonów kraju doprowadziło pod koniec lat czterdziestych do zahamowania walk i zmniejszenia wpływu nowych więźniów politycznych na Zamek. Aby nie marnować „mocy przerobowych” ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i polskich więzień, a w tym i Zamku lubelskiego, trzeba było znaleźć nowych wrogów, stworzyć nowy odcinek walki. Jednym z celów stał się wówczas Kościół katolicki. Jaskrawe przykłady walki z Ko-

ściołem i wierzącymi mieliśmy wówczas także w Lublinie.

Latem 1949 roku oddział polityczny więzienia dopełniono młodymi (przeważnie) ludźmi — uczestnikami lubelskich uroczystości Bożego Ciała, które w tym roku wypadło 16 czerwca.

Procesja z katedralnej parafii obchodziła ołtarze, tradycyjnie rozmieszczone na terenie placu Katedralnego, placu Łokietka i ul. Królewskiej. W czasie nabożeństwa, odprawianego przed ołtarzem znajdującym się na stopniach ratusza, w tłum zapelniający plac Łokietka (wówczas nie było tam ronda kwiatowego) i przyległe ulice zaczął wjeżdżać ulicą Nową (od strony ul. Lubartowskiej) otwarty terenowy samochód z jadącymi nim trzema osobami i psem. Jednym z jadących był szef Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, Pilipczuk, drugim umundurowany milicjant z karabinem a trzecim kierowca — cywil. Ludzie protestowali, usiłowali samochód zatrzymać, tłumaczyli, że procesja zaraz przejdzie do następnego ołtarza i będzie możliwość przejechania. Nic nie skutkowało, samochód trąbiąc roztrzącał ludzi i metr za metrem wciskał się w środek zgromadzonego tłumu. Kiedy znalazł się na placu Łokietka, tuż przed ołtarzem, przy którym z monstrancją stał ks. bp Goliński, grupa ludzi (robotników, rzemieślników?) „wysypała” z samochodu pasażerów i poturbowała ich trochę, a sam wóz wywróciła do góry kołami.

„Robotników” rozprawiających się z wozem stało wcześniej wyjątkowo dużo w pobliżu ołtarza przed magistratem. Biskup apelował do tłumu, aby nie poddawać się prowokacji, ale apele już nie mogły odnieść pożądanego skutku. Część uczestników nabożeństwa, zdając sobie sprawę z zaistniałej sytuacji, zaczęła rozchodzić się uliczkami w różnych kierunkach. W tym czasie i wcześniej, w trakcie zajścia z samochodem, w oknach i na balkonach wokół placu pojawili się ludzie z aparatami fotograficznymi dokonujący zdjęć, które później przyczyniły się do licznych aresztowań i stanowiły często jedyny „dowód winy” oskarżanych o udział w napadzie na przedstawicieli władzy.

Rozchodzący się tłum został otoczony szeregiem milicji, która niespodziewanie pojawiła się na wszystkich ulicach otaczających miejsce uroczystości. Zatrzymano i umieszczono na Zamku niektórych opuszczających plac uczestników i obserwatorów wydarzeń. Następnych wylapywano przez kilka dni na podstawie fotografii, donosów konfidentów i kontrolowanej bezprawnie korespondencji pocztowej. Wśród aresztowanych największy odsetek stanowili nie „robotnicy” wywracający samochód, ale studenci lubelskich uczelni, w tym przede wszystkim młodzież z KUL zrzeszona w „Juventus Christiana”. Większości aresztowanych wojskowy sąd rejonowy zafundował w 1950 roku kilkuletnie wyroki, wielu pozostawionych „na wolności” usunięto za udział w procesji z lubelskich uczelni.

Do aresztowanych za udział w uroczystościach Bożego Ciała wkrótce dołączyli również niektórzy uczestnicy demonstracji, jaką mieszkańcy Lublina zorganizowali w obronie aresztowanych przed budynkiem milicji przy ul. Zielonej. Podobnie jak uczestnicy uroczystości, otrzymali oni po kilku miesiącach śledztwa wyroki kilku lat więzienia.

WNIEDŁUGIM czasie po uroczystościach Bożego Ciała na Zamek zaczęły przybywać osoby zatrzymane w czasie „cudu” w lubelskiej katedrze, a później bardzo duże młodzieży starszoharcerskiej (w wieku 16—18 lat) z południowej Lubelszczyzny (Zamość, Bilgoraj i okolice), eskarżanej o antypaństwową działalność. Wśród więzionych „za katedrę” byli między innymi proboszcz i wikary parafii katedralnej — ksiądz Forkiewicz i Malec oraz starza zakonnica (w wieku 40—50 lat). Ks. Malec w czasie śledztwa i więzienia „opieki” został dotkliwie pobity i pokaleczony (twarz miał w strupach i bliznach). Naczelnikiem więzienia, osobiście maltretującym więźniów, był w tym czasie (prawdopodobnie) niejak! Eub.

Listy

„Stu z Lublina”

W numerze „Relacji” 12/89 str. 10 i 11 zostały zamieszczone: artykuł p. Janusza Wróny pt. „Stu z Lublina” i lista osób „aresztowanych” w Lublinie, a następnie internowanych w ZSRR, gdzie jestem wymieniony pod pozycją 68.

W obu publikacjach pisownia mojego nazwiska jest nieprawidłowa — nazywam się Pasadyn, a nie Pasadyn i proszę o sprostowanie.

Józef Pasadyn
Lublin

W sprawach wyznaniowych

Z ogromną ciekawością czytam publikowane w „Relacjach” listy — polemiki na tematy wyznaniowe. Często są one wiernym odbiciem metod wynaradawiania Polaków przez zaborców. Szczególnie ciekawym przypadkiem jest list z nr 10/89 oraz polemizujący z nim list z nr 24/89.

Co do listu z nr 10/89, to potwierdzam prawdziwość opisanej w nim prowokacji z fałszywym „Chrystusem” i „Matką Boską”, groźnymi potępieniem katolików. Wydarzenie to istotnie zostało opisane w piśmie, w którym podano nazwy miejscowości i nazwiska niektórych osób. Niestety, podobnie jak autorka listu z nr 10/89 nie zapamiętałam nazwy tego pisma. Był to chyba miesięcznik w brunatno-szaro-granatowej okładce. Relacja o prowokacji była umieszczona na ostatnich stronach i wbijała się w pamięć pikantną puenty: udająca prawosławną Matkę Boską kobieta została rozpoznana po wojnie jako przodownica pracy w odłączonym od Polski Grodnie.

Warto ogłosić apel do pracowników bibliotek z prośbą o pomoc w odzyskaniu tego pisma w celu wydrukowania zawartej w nim relacji o fałszywym „Chrystusie” i przeciwdziałaniu polskiemu wywiadu. Moim zdaniem, może to przyczynić się do obalenia oszczerstw dotyczących rzekomych pacyfikacji przez Polaków prawosławnych kościołów na terenach II Rzeczypospolitej.

Co do listu z nr 24/89 autorstwa Pana Siwickiego, to uważam, że było nietaktem „Relacji” wobec tego Pana opublikowanie takich zaprzeczających sobie wzajemnie wywodów. Już na początku listu Pan S., nawiązując do listu z nr 10/89, określa Białostoczną jako tereny wschodniej II Rzeczypospolitej, podczas gdy Białostoczną oznaczała Polska Środkową, od której daleko na wschód rozciągała się Wileńszczyzna, Polesie, Nowogródzkie, Wołyń itp., itd., wszystko to w granicach II Rzeczypospolitej.

Po takim wstępie, zawartym w pkt. 1, już nie dziwię wywozy z pkt. 2 i 3, w których Pan S. najpierw wyraża „głęboki sprzeciw” przeciwko akapitowi listu z nr 10/89, demaskującego kłamliwe utożsamianie Kościoła unickiego z Kościołem ukraińskim. W tym miejscu Pan S. pisze: „...otóż, w ogólniejszym znaczeniu, nikt kompetentny nie napisze, że Kościół unicki to Kościół ukraiński”. Co do tego, to jesteśmy wszyscy zgodni — taka jest bowiem prawda historyczna. I o to zapewne chodziło autorce listu z nr 10/89.

W zakończeniu swego listu Pan S. czyni jednak zwrot o 360 stopni i „apłac” udowadnia, że „gdy bierzemy pod uwagę Kościół unicki w

Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, musimy pamiętać o tym, że był to Kościół ukraińsko-białoruski, choć z domieszką Polaków” (III).

Widocznie czterdziestoletnia propaganda zwycięskiego Frontu Białoruskiego i Ukraińskiego poczyniła nieodwracalne zmiany w niektórych umysłach. Dlatego bezcelowe jest tu tłumaczenie, że w Polsce przedrozbiorowej Ukraina była regionem Rzeczypospolitej, a mieszkańcy tego regionu, czyli Ukraińcy, znaczyli tyle samo co np. Kujawiaczy, Podlasiacy albo Poleszuki. A propos: ciska mi się tu pod pióro wzruszające słowa Generała Kleberga, które sprawiły, że miano „Poleszuk” brzmi dumnie, słowa ostatniego rozkazu do żołnierzy SGO Polesie:

„Z dalekiego Polesia, znad Narwi, z oddziałów, które się oparły demoralizacji...”

Zatem pozostaje z życzeniami przeciwstawiania się demoralizacji.

Wanda Rozporska
Biała Podlaska

Jeden egzemplarz na cały Otmuchów

[...] Wasz tygodnik na cztery kioski „Ruchu” w Otmuchowie zaczął docierać od numeru 8 (9—15 III br.) tygko w 1 egz. i ja stałem się więc jedynym Waszym czytelnikiem. Tenże numer, w którym było opublikowane „Kto zginął w Katyniu”, przeczytało ode mnie kilkanaście osób. Przy okazji nadmieniam, że jestem w posiadaniu jeszcze bardziej ciekawych materiałów opisanych na 12 stron o Katyniu. Gdyby Wasza Redakcja zdecydowała się na publikację, to mógłbym udostępnić. Czekam na odzew.

Kazimierz Bułhak
Otmuchów

Zanim podejmemy decyzję o publikacji, musimy zapoznać się z tekstem.

(Red.)

Poszukuję por. Kowalskiego — „Cienia”

Gromadzę relacje uczestników walk partyzanckich na Lubelszczyźnie w Armii Ludowej pod dowództwem por. B. Kowalskiego — „Cienia”. Bardzo proszę o kontakt listowy lub osobiście ze mną panią Irenę Wesolowską, pseudonim „Pierzynka”, która była osobistą kuzynką por. „Cienia” — Kowalskiego w 1944. Proszę — jeżeli ona nie żyje — o skontaktowanie się ze mną jej najbliższych krewnych. Relacje pani Ireny Wesolowskiej — „Pierzynki” lub jej krewnych na temat działalności bohaterskiego oficera AL, B. Kowalskiego — „Cienia” wykorzystam w mojej pracy magisterskiej o Armii Ludowej, którą ogłoszę później drukiem w książce (fragmenty w tygodniku „Relacje”). Mój adres prywatny:

Janina Aleksandra
Król-Nowicka
ul. Rakowiecka 37/18
02-521 Warszawa

Opublikowanie tego tekstu nie obliguje nas do druku fragmentów pracy p. Król-Nowickiej, choć oczywiście nie wyklucza takiej możliwości.

(Red.)

Rozmowa z Moniką Basarabowicz, miss Lwowa i wicemiss Polonii Świata '89

— W zgodnej opinii większości uczestników festiwalu rzeszowskiego byłaś najładniejszą dziewczyną, jaka przybyła na tę imprezę. Wybory wygrała jednak inna. Martwisz się?

— Nie. Skoro taka była decyzja jury, to ja nie mam nic do powiedzenia. Mogę się dziwić i dziwić się natomiast organizacji wyborów Miss Polonii. Do końca nie wiadomo było, czy się one odbędą i jakie właściwie będą kryteria oceny. Pierwsza próba przeprowadzenia imprezy nie powiodła się, a pan Cejrowski, który tym kierował, wyjechał po cichu. Potem powołano nowe jury...

— ... które w zasadzie mogło tylko naprawić błędy poprzednich organizatorów. Jakiejś agencji impresaryjnej z Warszawy. Wraz z panem Cejrowskim przypadła również nagroda w postaci zaproszenia na wybory „Queen of the World”, imprezy podobnej do „Miss World” czy „Miss Univers”.

— O tej nagrodzie wiedzieliśmy tylko nieoficjalnie. Choć naturalnie była ona bardzo dla nas frapująca. Na pewno w moim przypadku...

— Może pora na przedstawienie się. Co robisz w Lwowie?

— Pracuję w lwowskim Domu Mody jako modelka. Robię to od dwóch lat. Poprzednio dwukrotnie próbowałam dostać się na medycynę, ale nie udało się z powodu braku miejsc. Za drugim razem zabrakło mi tylko jednego punktu... Dla modelki z mego kraju zamieszkania szansa pokazania się na Zachodzie jest naprawdę pociągająca i nie zdarza się często.

— Przerwijmy może wątek zawodowy. Powiedz coś o sobie prywatnie.

— Jestem w siódmym pokoleniu lwowianką. Naturalnie — Polką. Narodowość polską mam wpisaną w paszporcie ZSRR, ukończyłam polską szkołę. W domu nigdy nie mówiło się inaczej niż po polsku. Również towarzystwo, w którym przebywam, mówi po polsku, chociaż nie wszyscy są Polakami. Mieszkałam z mamą i babcią. Jestem jędną. Urodziłam się w 1970 roku... Pochodzę z rodziny inteligenckiej. Ojciec był pilotem, mama jest mikrobiologiem, babcia nigdy nie pracowała, zajmowała się domem i życiem towarzyskim. Dziś, mimo że dobiega osiemdziesiątku lat (wygląda na najwyżej 65), posiada ogromną klasę i maniery damy. Bardzo często jej zazdrość tego stylu, który jest zupełnie inny niż nasz obecny.

— W szkole podobno grałaś na pianinie, chodziłaś na balet...

— Tak, od wczesnego dzieciństwa. Tańczyłam również w zespole pieśni i tańca „Junost”. Niestety, nie okazałam się talentem muzycznym, ale tańczyłam zupełnie nieźle. Aha, bardzo szybko nauczyłam się pływać i chętnie robię to do dziś. Pływam wszystkimi stylami.

— Zapewne dość wcześnie zorientowałaś się, że jesteś ładną dziewczyną...

— Dość późno. Mama wychowywała mnie w konsekwentnym reżimie, nie pozwalającym na adorowanie i nie zostawiającym dużo wolnego czasu na życie towarzyskie. Był to model panny z dobrego domu. Stary, tradycyjny. Myślałam, że się to zabiegów powiodły. Nie palę papierosów, co u kobiet od ZSRR jest nagminne; a poczynając od szóstej klasy nie miałam koleżanki, która by nie paliła. Nie piję alkoholu. Jestem odporna na zaloty.

— Tych ostatnich zapewne jest pod dostatkiem?

— Przyznaję, że jest to bardzo uciążliwe i męczące. Kiedy po wyborach Miss Lwowa zaczęto mnie pokazywać w prasie i telewizji, w której programach reklamowych zaczęłam zresztą szybko występować, miałam kłopoty z poruszaniem się po ulicach czy na basenie, gdzie jestem codziennie. Od głupiego podrywania, bo obraźliwe propozycje z wtykaniem mi za kostium, na przykład, sturublowego banknotu.

— Czy podobnie było w Rzeszowie?

— Też się zdarzało. Pijani faceci koniecznie chcieli się przysiąść do

stolika, przy którym wraz z koleżanką ze Lwowa jadaliśmy posiłki w restauracji hotelu „Rzeszów”. W nocy jacyś inni z kolei dobijali się do drzwi mego pokoju. Także ludzie z firm polonijnych (jak się przedstawiali) gorąco pragnęli mnie lansować, uważali, że jestem na zawołanie i można na przykład zadzwonić o 23 i powiedzieć, żebym się ładnie ubrała i zeszła za dziesięć minut na kolację.

— Podobno niektórych z nich rozpoznałaś w składzie jury?

— Proszę o inne pytanie.

ILE URODY ILE ROZUMU?

„Nigdy nie pozwolę traktować się jak towar”



Fot. Waldemar Piasecki

— Co jest dla kobiety ważniejsze: uroda czy rozum?

— Oczywiście można się sobą zachwycić przed lustrem i czerpać radość z zazdrośnych spojrzeń innych dziewczyn na ulicy. Można świadomie wykorzystywać urodę do osiągnięcia takich czy innych celów. Ale to jest na krótką metę. Ładnej dziewczynie daje się pewien kredyt. Jakby automatycznie uważa się, że jest ona także mądra, dobra, inteligentna. Oczywiście można w to wierzyć, ale można też to łatwo sprawdzić. Ładne dziewczyny powinny mieć tego świadomość. Powinny też wiedzieć, że są obsypywane komplementami przede wszystkim za urodę, obojętne jak by te komplementy brzmiały. Jeżeli postawią jedynie na urodę, wyłączając rozum i inteligencję — przegramy, staną się tylko towarami. Wokół nas jest wiele ładnych przegranych idiotek. Mało — pięknych dziewczyn i kobiet, których klasa intelektualna dorównywałaby urodzie. Jeżeli o mnie chodzi, nigdy nie pozwolę się traktować jak towar.

— Istotnie, trudno byłoby dowiedzieć zależność ilorazu inteligencji od obwodu biustu...

— No więc rozum powinien iść z urodą, bo na to jest większy wpływ niż na sytuację odwrotną.

— Ile zarabia modelka we Lwowie?

— Jak jest dużo pokazów w miesiącu, to około stu rubli. Kiedy mało, to około 60. Telewizja płaci za dzień zdjęciowy piętnaście rubli. Jak jest naprawdę dobry miesiąc przynosi do domu 150 rubli, ale tak się zdarza wyjątkowo.

— Jak to się ma do kosztów utrzymania wyglądu, urody, modnego ubierania się?

— A jak to się może mieć? Bluzka, którą mam na sobie, została kupiona na bazarze za... 150 rubli. Tajlandzka. Mirispódniczka i bluzka w tym samym kolorze — za 350 rubli. Produkcja, podobno firmy „Lacoste”. Buty — szpilki austriackie — 280 rubli. I tak dalej. Żeby być modelką, trzeba mieć dużo pieniędzy, jakiegoś sponsora, bogatego męża, rodzinę za granicą.

— A w twoim przypadku?

— W moim przypadku jestem na utrzymaniu mamy. Dziwię się, że toleruje jeszcze to wszystko...

dają do Polski na finał. Finał zaś dla wszystkich jest podobny. Ten sam krój kreacji, ta sama muzyka, te same zadania, a wszystko wcześniej znane. Tak jak w innych imprezach o takim charakterze.

W Rzeszowie wybierano głównie spośród dziewczyn, które jechały na zgrupowania folklorystyczne, a właściwie prawie wyłącznie. Poza moim przypadkiem. Jestem przekonana, że jest w świecie wiele Polek, które chętnie by wzięły udział w takiej zabawie, a nie przyjechały do Rzeszowa, bo się nie mieściły w formule folkloru. Ja ze Lwowa nie miałam daleko, ale już dla dziewczyny z Buenos Aires byłaby to prawdziwa wyprawa.

— Sukces cię nie cieszy?

— Mam pełną świadomość jego rzeczywistej wartości.

— Co otrzymała wicemiss?

— Dwutygodniowy pobyt w Polsce na koszt Towarzystwa „Polonia”.

— Czy ją to satysfakcjonuje?

— Naturalnie!

— A po tych wakacjach?

— We wrześniu przyjeżdżam do Krakowa, gdzie zostałam przyjęta na Uniwersytet Jagielloński. Będę studiować w kraju.

— Co?

— O tym zdecydować sprawdziany i kurs przygotowawczy. Młodzi Polacy z ZSRR na polskich uczelniach, w takiej liczbie, jak w tym roku, są nowością. Jeszcze nie ma chyba dopracowanych form eliminacji, a raczej kwalifikacji.

— Musisz chyba mieć jakieś upatrzone kierunki...

— Muzealnictwo i konserwacja dzieł sztuki lub psychologia.

— A co z karierą modelki?

— Nie wiem, czy będzie możliwość jej kontynuowania w Polsce. Na pewno bardzo bym chciała, ale nie wiem: czy będzie na to czas, czy uczelnia się zgodzi i, przede wszystkim, czy znajdzie się jakaś firma, która mnie zatrudni. Wszystko to — przyszłość...

— Byłaś miss Lwowa rok temu, pewnie śledziłaś w telewizji przebieg innych podobnych konkursów, w tym Miss Polonia. Czy chciałabyś wziąć kiedyś udział w takiej wielkiej imprezie i czy widziałabyś w niej szansę dla siebie? Od siebie dodam, że w tegorocznej edycji Miss Polonia w Sopocie miejsce w finale miałyby raczej pewne.

— Najpierw dziękuję za komplement. Oglądam oczywiście finały Miss Polonia i bardzo mi się podoba ich organizacja oraz profesjonalizm prowadzenia. Co do szans? W tegorocznym finale było kilka dziewczyn o podobnym do mojego typie urody, podobnej budowie i wroście... Tyle mogę powiedzieć. Jakies dalsze porównania byłyby nieskromne.

— Czy mogłabyś w takim razie na koniec podać parametry określające liczbowo twój typ urody?

— Mam 175 centymetrów wzrostu. Biust — 86 centymetrów, talia — 59, biodra — 88.

— Reszta na zdjęciu. Dziękuję ci za rozmowę.

Rozmawiał:
Waldemar Piasecki

OGŁOSZENIA

ZAGRANICZNE oferty matrymonialne paniom, panom poleca „VENUS” skr. 27, 59-850 SWIERADÓW ZDRÓJ.

1/P-10

NOWO otwarte marmurkowanie dzinsu. Solidna usługa tel. 77-74-05 po 20.00.

18049/G

SZKLARZE budowlani, szlifierze - ramiarze, uczniowie. Wstawiam szyby do wszelkich typów samochodów. Tel. 123-93 Świdnik, Przędowników Pracy 25.

18277/G

TV

CZWARTEK
10 SIERPNIA

PROGRAM I

8.50 Domator: Aerobik z Mariolą
9.00 Kino Teleferii: „Zaczarowany krąg” (1) — film przyg. prod. ZSRR
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Telefon 110”: „Pożegnana pieśń dla Lindy” — film krym. prod. NRD
16.45 Program dnia
16.50 Poligon — wojskowy mag. public.
17.15 Teleexpress
17.30 „Polskie drogi” — odc. 2 pt. „Obywatel GG” — serial fab. TVP
19.00 Dobranoc: Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Ostatnia szansa” — film krym. prod. ang.
21.35 Kroniki PAT: Tak było...
21.50 Pegaz — magazyn aktualności kulturalnych
22.40 Rok 1939 — ostatni miesiąc pokoju
23.05 Dt — echa dnia
23.20 Jutro w programie

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Strachy na lachy” (13) — serial animowany prod. ang.
19.00 Magazyn „102”
19.30 „Świat roślin” — odc. 7 pt. „Niebezpieczne rośliny” — serial przyr. prod. CSRS
20.00 Studio Sport: Wielki tenis
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne „Dwójki”: Jerzy Broszkiewicz — „Prawdziwe przygody Lemuela Gulliwera”
22.50 — 22.55 Komentarz dnia

PIĄTEK
11 SIERPNIA

PROGRAM I

8.50 Domator: Aerobik z Mariolą
9.00 Zielone Teleferie
9.30 Kino Teleferii: „Arabella” — serial prod. CSRS
10.00 Dt — wiadomości
10.10 Dt — dodatek gospodarczy
10.25 „Honor dziecka” — komedia prod. pol.
15.40 Domator: Przed weekendem
16.40 Program dnia
16.45 Z polski rodem — mag. polonijny
17.15 Teleexpress
17.30 „Polskie drogi” — odc. 3 pt. „Najspokojniejsze miejsce na świecie” — serial fab. TVP
19.00 Dobranoc: Przygody Gapulki
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 Prapremiery: „Statek szaleńców” — film fab. prod. USA; reż. Stanley Kramer
22.30 Kroniki PAT: Tak było...
22.45 Czas — magaz. public.
23.15 Dt — echa dnia

23.30 — 24.00 Świat jaki jest: „Gorzki smak herbaty” — film do prod. ang.

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Konwój
19.00 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego
19.30 Dookoła świata: W Tunezji
20.00 Program public.
20.50 Antyczny świat prof. Krawczuka: Sennik Artemidora (1)
21.30 Panorama dnia
21.45 Zespół adwokacki „Dyskrekcja”
22.30 Filmy z Humphreym Bogartem: „Mieć i nie mieć”
0.10 — 0.15 Komentarz dnia

SOBOTA
12 SIERPNIA

PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „Przygody dobrodusznego smoka” — serial prod. węgier. i „Siedem życzeń” (4) — serial fab. TVP
10.20 VIII Światowy Festiwal Polonijnych Zespołów Folklorystycznych — Rzeszów '89
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.15 Azymut — wojskowy program public.
11.45 Telewizyjny koncert życzeń
12.15 „Śladami Odyseusza”: „Powrót do Itaki” — ostatni odcinek serialu prod. franc.
12.55 Telewizyjny Teatr Prozy: Z cyklu „Mówi Chandler” — „Długie pożegnania” (2)
14.55 Komedia, komedia, komedia: „Syrawa do załatwienia” — prod. pol.
16.30 Losowanie Dużego Lotka
16.40 Tele-show: Kto pierwszy (1) — teleturniej na temat handlu
17.15 Teleexpress
17.30 Tele-show: Kto pierwszy (2)
18.05 Zanim zabrzmiała jej pieśń — reportaż
18.30 Butik
19.30 Dobranoc: Przygód kilka wróbla Cwirka
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: „Goryle i szympany”
19.30 Dt
20.05 „Na imię mi dała Te-deum” — komedia prod. franc.
21.40 Teatr TV: „Spotkania ze Szwajkiem” (5): „Piękna Katy”
21.55 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielnicki
22.05 Telewizyjny przegląd sportowy
22.25 Jutro w programie
22.30 Szafa 2 — program rozrywkowy
23.10 Telegazeta
23.15—0.55 Kino sensacji: „Oszukany” — film prod. USA

PROGRAM II

14.30 Konkurs 5 milionów — ogólnopolskie współzawodnictwo szkół podstawowych
15.15 Bariery — problemy ludzi niepełnosprawnych
15.40 Powitanie
15.45 Małe kino: „Krajobraz z kolumnami” — film dok. Kazimierza Błahija
16.15 5—10—15 — program dla dzieci i młodzieży (wydanie wakacyjne)

17.00 Konwój
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Godzina z Franciszkiem Pieczką
19.30 Norymberskie triennale — reportaż Franciszka Kuduka
20.00 Filharmonia „Dwójki”: Gra Orkiestra Filharmonii Śląskiej w Katowicach pod dyrekcją Michaela Zilma (RFN). Solista — Bernard Ringeissen (Francja)
20.40 Studio sport: Konkurs skoków o tycze na sopockim moście
21.30 Panorama dnia
21.45 „Chateauvallon” (14) — serial fab. prod. franc.
22.40—22.45 Komentarz dnia

NIEDZIELA
13 SIERPNIA

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „Krzyżacy” (1) — film prod. pol. wg powieści Henryka Sienkiewicza
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Ludy Ziemi” — odc. 4 pt. „Anglicy” — serial dok. prod. hiszp.
11.35 Kraj za miastem
12.05 Telewizyjny koncert życzeń
12.50 „Antarktyczny rok” — film dok. Ryszarda Wyrzykowski
13.20 Opole '89 — krajowa scena młodzieżowa
14.00 Morze — magazyn public.
14.20 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty
14.50 Pieprz i wanilia: Nieznany kraj
15.35 „Panna dziedziczka” (13) — serial fab. prod. braz.
17.15 Teleexpress
17.30 Smak życia — program publicystyki kulturalnej
18.10 Studio sport
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Trzy misie
19.30 Dt
20.05 „Światła kabaretów” (5) — serial fab. prod. ang.
21.00 Siedem dni: Świat
21.30 Sportowa niedziela
22.35 Kinomania: Ewa Krasnodębska
23.05 Telegazeta

PROGRAM II

11.25 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
12.00 „Światła kabaretów” (5) — serial fab. prod. ang. (dla niesłyszących)
12.55 Krótkoformy — wojskowy program public.
13.25 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
13.55 Powitanie
14.00 Polska Kronika Filmowa
14.10 Formuła I
14.35 100 pytań do...
15.15 Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych (1) — reportaż z Jeleniej Góry
15.30 Formuła I
15.45 Zbliżenia — czyli to i owo o filmie
16.35 Formuła I
17.00 Konwój
17.30 Blżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic: Siostra Julia Miciuła (franciszka)
19.30 W Parku Łazienkowskim gra Anna Jastrzębska
20.00 Studio sport: Piłka w grze
21.00 Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych (2)
21.30 Panorama dnia
21.45 „Queenie” (3) — serial fab. prod. amerykańsko-angielskiej

22.40 Komentarz dnia
22.45—22.50 Futurologia na dobranoc: Trybuna

PONIEDZIAŁEK
14 SIERPNIA

PROGRAM I

17.10 Program dnia
17.15 Teleexpress
17.30 „Polskie drogi” — „Na tropie” (4) — serial TVP
18.50 Bez granic
19.00 Dobranoc: O Fromie i Jeromie
19.10 Gorące linie
19.30 Dt
20.05 Spektakl na bis: Nikołaj Erdman „Samobójca”. Reż. Kazimierz Kutz. Wyk.: Janusz Gajos, Elżbieta Karoszka, Izabela Olszewska, Krzysztof Jędrzyk i inni.
22.35 Kroniki PAT: Tak było...
22.50 Dt — echa dnia
23.05 Premiery Starego Kina: „Złota maska” — film archiwalny prod. pol.
0.35 Zakończenie programu

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.00 Ojczyzna — polszczyzna: Curie-Skłodowska czy Skłodowska-Curie?
19.15 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
19.30 Schola Cantorum Gedanensis dyryguje Jan Łukaszeński
20.00 Teletrans
20.40 Spiewa Sofia Rotaru
21.15 Zamyślenia — program Halszki Wasilewskiej
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Anna Achmatowa — Requiem” — film dok. prod. ZSRR
22.15 Barwy jazzu
22.45 Komentarz dnia

WTOREK
15 SIERPNIA

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „Legenda o żartowniszu zwanym Kurentem” (1) — serial prod. jugosl.
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Stoń” — film fab. prod. węgier.
16.45 Program dnia
16.50 Losowanie Express i Super Lotka
16.55 Telewizyjny informator wydawniczy
17.15 Teleexpress
17.30 „Polskie drogi” (6) — „Bocznica” — serial TVP
19.00 Dobranoc: Kolorowy świat Pacyka
19.10 Bocznymi drogami
19.30 Dt
20.05 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89 (estrady świata cz. 1)
21.35 Dt — echa dnia
21.55 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89 (estrady świata cz. 2)
PROGRAM II
17.55 Program dnia
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Świat festynów
19.00 „W labiryncie” (33) — serial TVP
19.30 Księgi piramid — reportaż z Egiptu
20.00 Studio sport: Mityng lekkoatletyczny Grand Prix z Zurichu w przerwie ok.
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio sport: Mityng lekkoatletyczny Grand Prix z Zurichu
23.15 Telewizja nocą
24.00 Komentarz dnia

powrotem do Rzeszy” — serial TVP. Reż. Zbigniew Kuźmiński. Wyk.: Krzysztof Ibisz, Ewa Skubińska
21.00 Kroniki PAT: Tak było...
21.15 Szkoła mistrzów: Andrzej Brzozowski
21.30 Helena Vondrackova live — program rozrywkowy
22.15 Wszystko jest dobre, co jest Polską — program o Zofii Kossak Szczuckiej-Szatkowskiej

PROGRAM II

13.10 Konkurs 5 milionów — ogólnopolskie współzawodnictwo szkół podstawowych
13.55 Powitanie
14.00 „Droga na Rzym” — film dok. Alicji Albrecht o Monte Cassino
15.10 Pęknięte niebo — recital Marka Grechuty
15.40 Jak ptaki wracają — program public.
16.15 „Prywatne niebo” — komedia obycz. prod. pol. Reż. Janusz Kondratiuk. Wyk.: Zofia Merle, Henryk Bista
17.40 Violetta — portret artystki
18.00 Jacek Mierzejewski w Muzeum Narodowym
18.40 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
18.55 „Wojna domowa” (13) — „Nowy nabytek” — serial TVP
19.30 Blisko nieba: Na skrzydłach
20.00 Non stop kolor: „Sting w Japonii” — film prod. amerykańsko-angielskiej
21.00 Studio sport
21.30 Panorama dnia
21.45 „Patt Hobby współpracuje z geniuszem” — film prod. USA
22.40 Studio Solidarności
23.25 Komentarz dnia

ŚRODA

16 SIERPNIA

PROGRAM I

8.50 Domator: Słodko i kolorowo
9.00 Teleferie najmłodszych: Zgadywanie na ekranie
9.30 Kino Teleferii: „Legenda o żartowniszu zwanym Kurentem” (1) — serial prod. jugosl.
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Stoń” — film fab. prod. węgier.
16.45 Program dnia
16.50 Losowanie Express i Super Lotka
16.55 Telewizyjny informator wydawniczy
17.15 Teleexpress
17.30 „Polskie drogi” (6) — „Bocznica” — serial TVP
19.00 Dobranoc: Kolorowy świat Pacyka
19.10 Bocznymi drogami
19.30 Dt
20.05 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89 (estrady świata cz. 1)
21.35 Dt — echa dnia
21.55 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89 (estrady świata cz. 2)

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Świat festynów
19.00 „W labiryncie” (33) — serial TVP
19.30 Księgi piramid — reportaż z Egiptu
20.00 Studio sport: Mityng lekkoatletyczny Grand Prix z Zurichu w przerwie ok.
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio sport: Mityng lekkoatletyczny Grand Prix z Zurichu
23.15 Telewizja nocą
24.00 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stepień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korespondent: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencje zwykłą kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udziela oddział Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830 Zam. 1192. 24.07.1989 r. B-5.

BOG w swej nieskończonej mądrości i miłości jest z wami w tej izbie. Oby Bóg wam błogosławił i waszym wysiłkom. Niech żyje Polska!"

Prezydent George Bush, kończąc swe przemówienie z trybuny polskiego parlamentu, wiedział co czyni, odwołując się do Boga i jego wstawienictwa. Wiedział, że prawie 90 proc. jego słuchaczy do ław poselskich przeszło przez Chrystusa Świętego w ich skomplikowanych dziecinistwach. Szli potem różnymi drogami. Jedni znad Oki, inni znad Renu. Jedni stawali się klientami Różańskiego-Goldberga i Fejgina, inni szli ot tak sobie, spacerkiem, na luzie, z miłościwego błogosławieństwa przewodniej siły narodu. Inni mieli pewien etap w Barczewie, ale czy dają się to porównać z losem klienteli X Departamentu?

Prezydent Bush wiedział, że kieruje te słowa do narodu w 80 procentach wierzącego, katolickiego. W ostatnich latach szczególnie wyczułonego na Słowo Boże. Jedyne słowo odmienne od słowa nakazanego. Słowo oficjalnie przywołane, ale nie kłamliwe, nie o-błudne, nie cyniczne. Po prostu Słowo Boże.

Wiedział, że wypowiada to Słowo do znacznej grupy chrzczonych w dzieciństwie późniejszych ateistów z przymuszenia czy dobrej woli. Ateistów może już nie walczących, wszelako wciąż jeszcze i może na zawsze ateistów. Ale taka jest natura zarówno katolicyzmu jak i komunizmu: nieś swoje słowo do pogan. I niech nie czują się dotknięci prezydencką apostołową ateistyczną przetrzeźniającą i trzeźwienie. Przez 40 lat dawali upust swemu wojującemu ateizmowi w Sejmie.

niechże więc przelkną tamte słowa wojującego katolicyzmu.

Zresztą goście po staropolsku przebacza się wiele. Szczególnie takiemu gościowi, który przywiózł czek wypisany in blanco. Na ile? To zależy od okłasków.

Boska apostoła w ustach prezydenta Stanów Zjednoczonych zabrzmiała bardzo naturalnie, spontanicznie, bez efekciarstwa. Gdyby padła niegdyś z

rzając losy manewru. Wiadomo bowiem, że lipa nie ustąpi.

Co prawda o czymś zupełnie przeciwnym, niechlubnym, świadczą tak zwane czarne skrzynki wydobywane z rozbitych samolotów. Na wścibskie pytania grupy zachodnich psychologów o ostatnie słowa ginących pilotów, czarne skrzynki podały żenująco duży procent okrzyków w rodzaju: „O kurwa!!!” Na szczęście w czasach drugiej wojny światowej nie znano jeszcze

Jak pamiętamy, po wystąpieniu prezydenta zerwały się frenetyczne oklaski. Bili brawo klienci Barczewa, bili generalowie. Oczywiście dawali upust swej sympatii dla prezydenta, dla jego czeków, dla jego przemówienia, jego emplot. Dopiero pastor marszałka Kozakiewicza zdołał uciszyć owacje.

Widziało się gołym okiem, że ławy opozycyjne walczyły najmocniej i najdłużej. Dlaczego one?

SENATOR PAN BÓG

Hen Splder

ust Michaiła Susłowa, Leonida Breżniewa lub nawet z ust Michaiła Gorbaczowa, po sali sejmowej zapewne poniosły się szmer zdumienia. A może nawet dezaprobaty: jak to? Czyżby nawet Pan Bóg został dokooptowany do Układu Warszawskiego? A jeśli tak, to dobrowolnie czy metodą łagodnej perswazji?

Prezydent urodził się w rodzinie katolickiej. Zestrzelony podczas drugiej wojny światowej, uratował się jako jedyny z trzysobowej załogi samolotu. Ten „incydent” z pewnością odświeżył, utrwalił uczucia wiary w sercu młodzieńca, przyszłego prezydenta. W sytuacji nagłego i ostatecznego zagrożenia kierowca skręca raptownie w bok, nawet na stułetnią przydrożną lipę, ale czyni to przeważnie z imieniem boskim na ustach, jemu powie-

czarnych akrynek i bezpowrotnie uleciały w eter domniemane ostatnie słowa przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Można by pozwolić sobie na tanią złośliwość i doszukać się paraleli między walącym się w dół samolotem przyszłego prezydenta, a polską gospodarką. Odczytać w wezwaniu do miłosierdzia bożego sporą dozę desperacji i bezradności prezydenta, który chciał jakoby zawołać: „Panowie posłowie, panowie senatorowie, panie przewodniczący Rady Państwa! Wprawdzie przywołem kilka czeków i ulg oraz olbrzymi bagaż sympatii narodu amerykańskiego do narodu polskiego, ale moim zdaniem tylko Pan Bóg może uratować pikującą w dół polską ekonomikę! Na kolana! Do pa-ciorka, a nie do hymnu!”

To proste. Prezydent George, tywe wcielenie demokracji, duchowy Chomeini kombatantów opozycji, ostentacyjnie, z emfazą i żarliwością wprowadził na salę sejmową bardzo ważną dodatkową postać i siłę sprawczą. Jest to Senator Pan Bóg. Niewidzialny zasiadł obok marszałka Kozakiewicza i wiele wskazuje na to, że pozostanie tam oficjalnie i na długo.

Nigdy przedtem nie zdobyli się na taką uzurpację, na taką dozę niesubordynacji posłowie katolicyści spod znaku PAX, tego katolicyzmu w komunizmie czy raczej odwrotnie. Uczynił to dopiero gościnnie, po czterdziestu latach polskiego „parlamentaryzmu”, prezydent Stanów Zjednoczonych. Imię Boże, starym wypróbowanym zwyczajem przywołane „w teczkę”, niech odtąd rozbrzmiewa jak najczęściej w pikującym w dół gmachu Sejmu.

Patrzenie pod kątem

ZGORĄCYCH dni kampanii wyborczej zapamiętałem takie oto hasło: „Bez koalicji nie ma opozycji”. Miało ono — jak sądzę — przekonać wyborców do głosowania na kandydatów z listy krajowej. Na ile skutecznie — przekonał się 4 czerwca, kiedy to z 35 kandydatów z owej listy społeczną akceptację uzyskało tylko dwóch. Hasło nie pomogło, co nie znaczy bynajmniej, że jest ono bez sensu. Przeciwnie — przypomina

posłów głosowało przeciwko kandydaturze. Ba, nawet w klubie PZPR znalazł się jeden poseł, który złamał dyscyplinę, co zresztą ma być przedmiotem obrad klubu. Okazało się — co jest pewnym paradoksem — iż najbardziej wiarygodnymi partnerami PZPR są związki katolików świeckich. Bowiem wszyscy posłowie z klubów PAX, UChS i PZKS głosowali za kandydaturą W. Jaruzelskiego.

Czy można zatem dziś mówić o istnieniu koalicji? Owszem, można, ale nie wiadomo jeszcze w jakim składzie. Oto bowiem w ZSL coraz silniejsze są tendencje do nawiązania do dorobku PSL, co siłą rzeczy zbliża do stronnictwo ku Komitetowi Obywatel-

JAKA KOALICJA JAKA OPOZYCJA?

Andrzej Z. Kowalczyk

ono prawdę oczywistą. Tę mianowicie, że warunkiem sine qua non istnienia opozycji jest istnienie tej drugiej strony. Rzecz tylko w tym, jak owa druga strona wygląda.

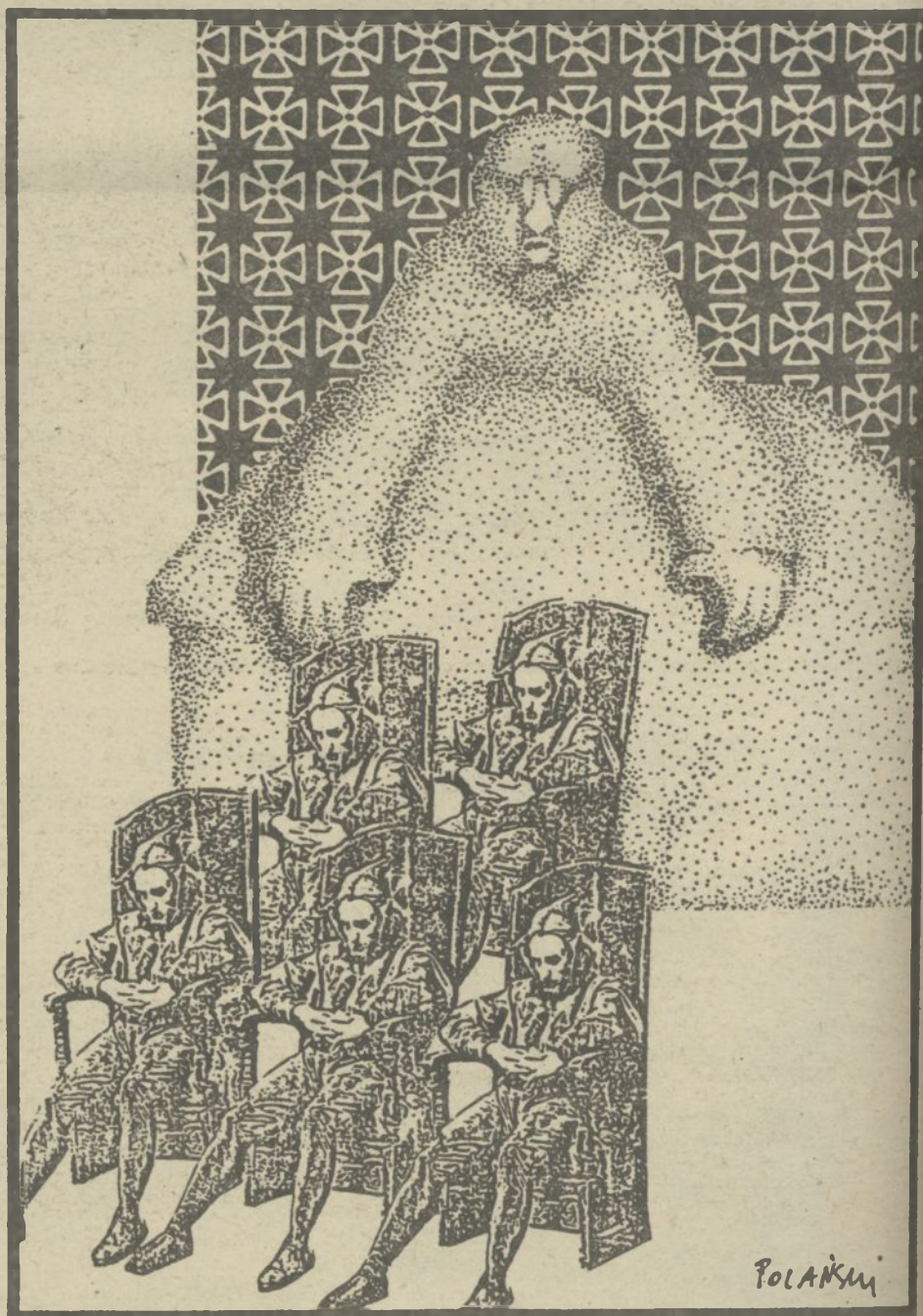
Pod pojęciem koalicji rozumiem blok ugrupowań o zbliżonych celach, realizujących wspólnie wypracowany program. I dotychczas koalicja taka w Polsce istniała. Co prawda zarówno ZSL, jak i SD sprawiły wrażenie filii PZPR i wszystkie najważniejsze decyzje zapadały w gmachu Komitetu Centralnego, ale fakt ów cementował jedynie zwartość bloku. W takim składzie koalicja przystąpiła do wyborów. Już jednak w czasie kampanii okazało się, iż w teorii — owszem — koalicja jest, ale w praktyce każdy gra na własny rachunek. Niepoprawni optymiści sądzili jeszcze, iż w parlamencie nastąpi ponowne zbliżenie stanowisk. Czy tak się stało, mogliśmy się przekonać podczas wyborów prezydenckich.

Kandydatura Wojciecha Jaruzelskiego była kandydaturą koalicyjną. Można się było zatem spodziewać, iż jego wybór będzie czystą formalnością. Ze postawie będą głosować zgodnie z dyscypliną klubową. I tu zaskoczenie. Zarówno w klubie ZSL, jak i SD część

skiemu. Także demokraci odnajdują coraz więcej różnic pomiędzy programem własnym a PZPR. Kto wie, czy z czasem nie dojdzie do powstania w parlamencie zupełnie nowej koalicji, w składzie: OKP, ZSL i SD. Gdzie by się zatem wówczas znalazła PZPR? Tak, tak, w opozycji właśnie. To, co niegdyś brzmiałoby jak bajka o żelaznym wilku, dziś staje się rzeczą wielce prawdopodobną.

To jednak jeszcze nie wszystko. Obok bowiem opozycji w parlamencie istnieje także opozycja pozaparlamentarna. Gdyby więc doszło do sytuacji, jaką przedstawiłem powyżej, w opozycji wobec nowej koalicji znalazłyby się Grupa Robocza „Solidarności”, Stronnictwo Pracy, KPN. A wówczas... No nie, bez przesady, alians PZPR z KPN wydaje mi się niemożliwy nawet w tak surrealistycznych warunkach, jakie obecnie panują w naszym kraju.

W czasach raczkującej w Polsce demokracji możliwe jest prawie wszystko. Prawie każdy układ koalicyjno-opozycyjny. W najszcześniejszej sytuacji w całym naszym parlamencie jest senator Stokłosa, który jako jedyny niezależny może zawsze czynić tak, jak mu nakazują sumienie i rozsądek. Szkoda jedynie, iż jest on tylko jeden.



Rys. Marek Polański

W NUMERZE 31. OPUBLIKUJEMY:

● SZPIEG REAGANA ● 1920: WAKACJE Z BRONIĄ ● 1939: POTIOMKIN W WARSZAWIE ● DOJAZD NA WOKANDZIE ● ZABIĆ Z LITOŚCI ● NADBUŻAŃSKIE PAŁACE ● CHRZEŚCIJANIE W JEROZOLIMIE ● QUEBEC — MOJA DRUGA OJCZYZNA ● „RELACJE” TESTUJĄ NAJNOWSZEGO „MOSKWCZĄ”